

W NUMERZE:
Chodzi o ceny
sprawiedliwe - str. 3

Bez granic, bez rozsądku

- str. 6

Pożyć jak normalny
człowiek? - str. 9

Budka Suflera

znowu na szczycie - str. 8



Budka Suflera.

Fot. W. Stepień

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kammena

NR 3 (748)

9 - 22 maja 1982

CENA 10 ZŁ

9 MAJA DZIEŃ ZWYCIĘSTWA

Rozmowa Stalina z Żymierskim

Leszek Grot

6 LIPCA [1944 r.] w godzinach rannych druga delegacja KRN wylądowała na moskiewskim lotnisku. Jan Czechowski oraz inni partyzanci zostali natychmiast odwiezieni do szpitala, Stanisław Kotek-Agroszewski natomiast do Barwicy — podmoskiewskiej miejscowości lotniskowej, gdzie mieściła się siedziba ZPP. Gen. Żymierski pozostał w Moskwie, jeszcze bowiem tego dnia wieczorem miał być przyjęty na Kremlu przez marsz. Stalina.

— Wrażenie było silne — wspomina Marszałek. — Szef rządu radzieckiego i głównodowodzący Armii Radzieckiej w latach wojny stał się na frontach i na zapleczu symbolem walki z najeźdźcą. Jego przemówień radiowych z napięciem słuchał niemal cały świat. Wiele razy spotykałem się później ze

Stalinem, ale to pierwsze spotkanie szczególnie utkwiło mi w pamięci. Miało ono — według relacji Marszałka — następujący przebieg.

Stalin siedział za dużym biurkiem w głębi gabinetu, a obok na lewo Władysław Mołotow, ówczesny minister spraw zagranicznych i zastępca przewodniczącego Państwowego Komitetu Obrony. Wnętrze gabinetu było proste, nawet surowe. Duże biurko, stół konferencyjny i rząd gabinetowych krzeseł, aparatura łączności przy biurku, na ścianie portret Lenina i duża czerwona gwiazda w sierpnie i młocie. Szef państwa radzieckiego wstał, przywitał się z generałem i, wskazując ruchem ręki krzesło przy stole konferencyjnym, zapytał o perypetie związane z podróżą. Stalin był średniego wzrostu, poruszał się wolno, jakby trochę ocię-

żale. Mówił cicho, krótkimi zdaniem. Nawet gdy pytał o sprawy białe, uważnie wpatrywał się w twarz rozmówcy. Podczas rozmowy, która trwała kilka godzin, przeważnie chodził, dużo palił, na przemian to fajkę, to papierosa.

Zgodnie z wytycznymi KC PPR gen. Żymierski przedstawił sytuację wojskową i polityczną w kraju. Stwierdził, że całe społeczeństwo polskie uważa hitlerizm za śmiertelnego wroga, że nie ma w Polsce ani jednego odłamu, który opowiadałby się za Niemcami i szedł z nimi na współpracę. Najdobitniej świadczy o tym fakt, że Polacy nie utworzyli kolaboracyjnego rządu, lecz od początku prowadzili i prowadzą nieugiętą walkę z okupantem. Następnie poinformował głównodowodzącego Armii Radzieckiej o systemie u-

możności hitlerowskich wokół Warszawy i w samym mieście. Zapytany,

Na sesji MRN w Chełmie 27 ub.m. podjęto uchwałę o nadaniu Marszałkowi Polski Michałowi Róli-Żymierskiemu tytułu Honorowego Obywatela Chełma.

czy informacje te są pewne, odpowiedział twierdząco. Stalin oświadczył wówczas, że są to dla Armii Radzieckiej niezwykle cenne wiadomości.

Gen. Żymierski przedstawił z kolei założenia programowe PPR, polityczne i wojskowe zasady tworzenia Armii Ludowej oraz platformę polityczną KRN. Stalin słuchał z uwagą, nie przerywając.

Dokończenie na str. 5

Dziennik z Murnau

Roman Jarosz

28 kwietnia 1945 r. O godz. 8.00 rano hauptmann Pool zameldował ppłk. Kubickiemu, że wraz z personelem niemieckim oddaje do jego dyspozycji całą NKO¹. Sam zaś ma pozostać dla łączności z miastem i dla administracji obozu.

Jednocześnie oświadczył, że za około cztery godziny w obozie zameldują się Francuzi albo Anglicy. Po tym oświadczeniu ppłk. Kubicki zebrał oficerów pocztowych, w kilku słowach polecił im zachować powagę chwili i rozpoczął przejmować komendę.

Około godz. 10.00 ukazał się rozkaz gen. dyw. Rómmla, Nr 1, w którym polecił on również zachować powagę chwili, unikać kontaktu z Niemcami, wszelkich ekscesów oraz niepotrzebnych tumultów. Dla porządku w obozie powołane zostały plutony bezpieczeństwa (białe opaski) podlegające najstarszym blokom.

Przyjście Amerykanów, znajdujących się w Walheimie, spodziewane jest za kilka godzin. O wszystkich zmianach informowany będzie obóz specjalnymi rozkazami.

g. 13.00 — Odprawa oddziałów bezpieczeństwa. Wyznaczenie dowódców. Zwroćenie uwagi na ścisłe, bezkrytyczne wykonywanie rozkazów. [...]

g. 18.00 — Organizacja batalionu strzeleckiego. D-ca — mjr. Dziewicki. [...]

g. 19.20 — Rozkaz gen. Rómmla Nr 2. W związku z burzliwą sytuacją na terenie Bawarii i nieprzybyciem jeszcze Aliantów — dla wewnętrznego bezpieczeństwa pozostawia się dotychczasowy system czasu spacerów, capstrzyku i zaciemniania. Poruszać się po obozie mogą tylko upoważnieni oficerowie żandarmerii, łącznikowi i gońcy posiadający legitymację z podpisem gen. Rómmla. [...]

Dnia tego do wieczora wszystkie agendy wewnątrz obozu przejęte zo-

stały przez oficerów polskich. Niesamowita ilość „Jobów”² krążąca po obozie tak sprzeczna miejscami ze sobą, że nie zasługuje na podkreślenie. [...]

Dzień pochmurny i dżdżysty. Wieczorem słychać strzały artyleryjskie.

28/29.IV.45. Noc upłynęła bardzo spokojnie. Ruchu na szosie przed obozem, w przeciwstawieniu do dni ubiegłych, nie było zupełnie.

29.IV. — niedziela. Dzień słoneczny. Nabożeństwo w hali oszklonej. Pierwsze kazanie.

g. 9.20. — Komunikat z Londynu. Wiadomości frontowe. Hitler bardzo ciężko chory.

Alarm lotniczy w obozie, zresztą bez żadnej reakcji ze strony naszej. Wydawanie paczek żywnościowych angiels-

Dokończenie na str. 4

z notatnika

27.IV. Opublikowana we wczorajszym numerze „Trybuny Ludu” uchwała VIII Plenum KC PZPR jest klarowna, nie wymaga komentarzy. Dopiero jednak szczegółowe zapoznanie się z dyskusją plenarną, a także z dyskusją w zespołach problemowych i końcowym przemówieniem gen. Wojciecha Jaruzelskiego pozwala na poszerzenie optyki i lepsze zrozumienie skomplikowanej problematyki gospodarczej, która była głównym przedmiotem obrad VIII Plenum.

Dyskusja, jak wnioskuję, była otwarta, niejednokrotnie krytyczna, ale cechowała ją rzeczowość, chęć jak najszybszego wyprowadzenia kraju z głębokiego kryzysu ekonomicznego. Nie jest to jednak takie proste — regres gospodarki pogłębił się w 1981 roku, a restrykcje niektórych krajów kapitałowych wobec Polski, zastosowane po grudniu, utrudniły nam, choć przecież nie tak, jak inicjatorzy tych restrykcji przypuszczali, wyjście na prostą. Nie mniej I sekretarz KC mógł już zarysować w ogólnym zarysie wizję przyszłości.

Tak więc można mówić o trzech jak gdyby horyzontach czasowych. Pierwszy — to najbliższych kilka miesięcy, kiedy to chcemy osiągnąć definitywne powstrzymanie regresu naszej gospodarki a także określony postęp na wybranych odcinkach, a ponadto osłonić grupy społeczne, najsłabsze materialnie. Drugi horyzont czasowy — to najbliższe trzy lata — do 1985 r. W tym czasie istnieje możliwość i konieczność zminimalizowania dysproporcji mających obecnie bardzo głęboki charakter, pełne wdrożenie reformy gospodarczej, osiągnięcie stabilizacji, w tym poprawę sytuacji materialnej ludzi pracy. I wreszcie trzeci horyzont czasowy dotyczy perspektywy do 1990 roku, kiedy to powinniśmy osiągnąć zaawansowany stopień odciążania kraju, powszechnie i wyraźnie odczuwalną poprawę warunków bytowych, m. in. mieszkaniowych, w służbie zdrowia, komunikacji, kiedy powinniśmy doprowadzić do równowagi ekonomicznej — pełnej stabilizacji.

Osiem lat — to prawie sto miesięcy, ale przecież wszelkie plany mogą być skorygowane w górę. Dane GUS-u wskazują, że następują oznaki poprawy, aczkolwiek ograniczonej, bo dotyczą tylko niektórych odcinków gospodarki. Daje to jednak — podkreślił general — dozę potrzebnej nam dziś nadziei, optymizmu i potwierdza, że idziemy po słusznej drodze, że nie wolno się na niej cofać, że nie należy w nią wątpić. Jednocześnie trzeba mieć świadomość, że są to na razie tylko pierwsze, jeszcze nieregularne, niewielkie kroki.

I sekretarz KC podkreślił dalej, że:

● trzeba się liczyć z tym, iż może pojawić się jeszcze wiele nie rozpoznanych trudności; nie wszystko zależy od nas, napięcia w sytuacji międzynarodowej tworzą komplikacje w każdej gospodarce, a tym bardziej rzutują ujemnie na sytuację w przeżywanym ciężki kryzys kraju, jakim jest Polska;

● jeśli kraje kapitalistyczne chcą, byśmy spłacił nasze zadłużenia, to nie powinny, również we

własnym interesie, blokować na dłuższą metę naszych możliwości importowych;

● istotna, wręcz bezcenna jest teraz dla nas pomoc krajów socjalistycznych, a przede wszystkim Związku Radzieckiego;

● główne rezerwy trzeba jednak widzieć we własnym domu, a tu niepokoi wiele faktów różnego rodzaju niegospodarności i marnotrawstwa, nierobstwa i nieporządku, zbyrokratyzowania i bezduszności; partia musi temu zdecydowanie przeciwdziałać;

● właściwie trzeba wykorzystać kadrę inżyniersko-techniczną; coraz więcej ludzi nauki bierze udział w różnego rodzaju pracach partyjnych, rządu, ciał społecznych dając tym dowód woli aktywnego służenia socjalistycznej Polsce;

● są sprawy, które partia musi mieć szczególnie w swej pieczy, wśród nich — problem przemieszczeń w zatrudnieniu, rozwój rolnictwa i gospodarki żywnościowej, ochrona poziomu życia rodzin i grup ekonomicznie najsłabszych, budownictwo mieszkaniowe.

Osobny rozdział swego wystąpienia poświęcił mówca reformie gospodarczej, podkreślając, że nikt na Plenum nie podważał samych zasad reformy. Reformy nie traktujemy w sposób dogmatyczny, życie może wprowadzać korekty. Przedsiębiorstwom nie wolno dzięki nieuzasadnionemu podwyższaniu cen rekompensować swojej niegospodarności. W ostatecznym rachunku o powodzeniu reformy zdecyduje poparcie społeczeństwa, powszechne zrozumienie wśród ludzi pracy, że leży ona w ich interesie. Wiąże się to z cierpliwym wyjaśnianiem, że spadku stopy życiowej nie spowodowała reforma, lecz długo trwająca kryzys gospodarki. Reforma tylko obnaża słabości naszej ekonomiki, ujawnia często przykrą prawdę o złej gospodarce danego zakładu pracy, o wysokich kosztach produkcji, o nadmiernych wydatkach w porównaniu z dochodami. Trzeba też pamiętać, że reforma wzbudza niechętny stosunek wśród tych, którym żyło się wygodnie kosztem pracy innych.

Mówiąc o partii, I sekretarz KC podkreślił, że stopniowo odzyskuje ona pełną zdolność działania, umacnia swą jedność. Każdy członek Biura Politycznego, Sekretariatu KC, każdy kierownik i zastępca kierownika Wydziału KC powinien przynajmniej raz w tygodniu przebywać w terenie nie zapowiadając swojego przyjazdu. Podobna zasada powinna być wprowadzona w kierownictwie rządu, w poszczególnych ministerstwach i urzędach centralnych. (Od siebie dodałbym, że jest to przykład, który należałoby upowszechnić i na niższych szczeblach)

W zakończeniu general dobitnie zaakcentował, że partia niezmiennie podtrzymuje linię porozumienia narodowego, widzi konieczność utrzymania dialogu i współdziałania ze wszystkimi siłami gotowymi uczciwie służyć socjalistycznej Polsce. Fundamentem porozumienia powinny być trzy podstawowe zadania: zapewnienie bezpieczeństwa zewnętrznego, spokoju wewnętrznego oraz poprawy bytu materialnego narodu.

Materiały z VIII Plenum będą szeroko rozpropagowane. Warto szczególnie zapoznać się z dyskusją, w której występowali i przedstawiciele naszego regionu. Sądzę, że podzielią się oni własnymi spostrzeżeniami z obrad Plenum. Poruszane sprawy są dziś przecież najistotniejsze dla kraju, dla nas wszystkich.

28.IV. Wierna Czytelniczka „Kamenu” z Opola („Kamenu» bardzo sobie cenię — pisze ona i to jest b. miło) zwróciła mi uwagę na dwa błędy, które popełniłem w „Notatniku” (nr 1). Dziękuję i uwagi biorę sobie do serca. Oczywiście „nie wylewa się dziecka z kąpielą” i „nie przebywa na zwolnieniu lekarskim”. Mogę powiedzieć o sobie: nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka... Nawet pośpiech przy pisaniu nie może być usprawiedliwieniem. I wcale mnie nie pociesza, że te same błędy z kąpielą popełniło również „Życie Warszawy” z 20 kwietnia i „Express Wieczorny” z 21 kwietnia...

29.IV. Ogłoszenie we wczorajszym „Kurierze Lubelskim”: „Trzy studentki KUL zaopiekują się lub wynajmą mieszkanie dwu lub więcej pokojowe. Oferty...”. Za moich studenckich czasów szczytem marzeń dla wielu była możliwość „przewalutowania” w akademiku... W tymże samym numerze 26 (1) ogłoszeń o zgubieniu bądź skradzeniu wkładek zaopatrzenia. Pilnujmy lepiej tych skarbow, bo wkrótce rubryka „Zguby”, stale rosnąca, zmusi redakcję do redukcji etatów dziennikarskich!

A tymczasem w „Sztandarze Ludu” (numer ze środy) niejaki „Efep” (ceni się chłop, ale rozszyfrować literki nie tak znów trudno) nagłe się ocknął i wrócił do tematu: inteligencja. Przypominał, że Koźniewski, Gołębiowski i Nawrocki „przylali wszystkim inteligentom z wyjątkiem samych siebie”, czym przejął się Kraków, „trochę chyba Warszawa i Bydgoszcz, a my ani mru-mru”. Nie wiem, czy Kraków (etc.) przejął się właśnie dlatego, że wymienieni autorzy wyłączyli siebie z przylewania, ale nasuwa mi się pytanie: skąd to uogólnianie (Kraków, Warszawa, Bydgoszcz)? Jeden felietonista z „Faktów”, o którym wspomina „Efep”, to jeszcze nie cała Bydgoszcz, tak jak jeden „Efep” to nie cała Lublin. A jeżeli ktoś się np. zgadza z Koźniewskim? Nie wolno niby? I czy musi o tym koniecznie napisać?

Swoją drogą dobrze jednak, jeżeli dziennikarz na pewien czas wyjedzie z Lublina, pooddycha powietrzem wielkiego świata i wróci potem do starego grodu odkrywając, ile to się w nim zmieniło na gorze, jakie to towarzystwo bywa dzisiaj w „Unii” czy w „Regionalnej”. Zaczekajmy na kolejne powroty — może wówczas i „Unia” i „Regionalna” zmienią swój charakter...

Osobiście raczej tam nie chodzę. „Efep” zapewne też tak wkrótce będzie czynił, kiedy się na nowo zadamowi. Jeśli zaś chodzi o książki, których poszukuje, służę adresami bibliotek. Sam też gotów jestem to, i owo pożyczyć. Niektóre czasopisma sprzed grudnia ubr. — również. Ciekawie się pisało!

A kiedy mowa o zalecankach czyichś — warto zacząć od analizy zalecań własnych. Obiektu zainteresowań nie trzeba nawet szukać między wierszami...

M. A. Jaworski

PRZECZYTAŁIŚMY - PRZECZYTAJCIE

[...] W ostatnich dniach lutego przeprowadziłem rozmowę z kimś, kto w ramach wizytowania osób internowanych rozmawiał kilka razy z Edwardem Gierkiem.

Pierwsze pytanie, jakie zadałem osobie rozmawiającej z Gierkiem, brzmiało: Czy były szef naszej partii okazuje skrucę i jak przeżywa stan, do którego doprowadził nasz kraj? Roznówca odpowiedział: „Zdziwisz się, ale cała rozmowa, a raczej wywody Gierka, miały na celu przekonanie mnie o jego uczciwości, niewinności i nieświadomości”. Dodał też z ironią, że jeszcze kilka rozmów, a sam uwierzyłby Gierkowi. Po chwili dorzucił już bez ironii, że nie można było zrobić większej krzywdy partii wybierając tego formatu człowieka na jej I sekretarza.

Warto w tym miejscu zatrzymać się nad stanem świadomości Gierka. Oto w 1978 roku zapytany przez dziennikarza, jak oceniał wpływ KSS-KOR na społeczeństwo, Gierek odpowiedział, że nie warto zwracać na to zbyt dużej uwagi, jest to grupa mała i pozbawiona możliwości szerszego oddziaływania...

[...] Wbrew opinii Edwarda Gierka, KSS-KOR dysponował potężnymi środkami masowego przekazu. Nazwiska członków komitetu, ich działania i opinie były powszechnie znane. [...] Ze względu jednak na to, że opinia Gierka do września 1980 roku była obowiązującym prawem, krajowe mass media nie poruszały tego tematu”. (Jan M. Szeromski, „Barwy”, nr 2).

[...] Jak startowaliśmy w 1946 r., w pierwszym pełnym roku gospodarczym kraju? Uzyskaliśmy wówczas mniej niż połowę przedwojennej, z 1938 roku, produkcji rolnej, mniej niż trzy czwarte globalnej produkcji przemysłu, niespełna dwie trzecie dochodu narodowego. I w takiej sytuacji przystąpiono do uchwalenia i realizacji 3-letniego Planu Odbudowy Gospodarczej, który został w pełni wykonany przed terminem. Dokładnie — 16 listopada 1949 r. [...]

Jakie były wyniki? Po realizacji 3-letniego planu już w 1950 r. nastąpiła pełna rekonstrukcja gospodarki narodowej i osiągnięcie, a nawet pewne przekroczenie poziomu gospodarki polskiej z roku 1938. [...] Korzystne warunki umożliwiły teraz start pod industrializację kraju, pod budowę Nowej Huty, stoczni okrętowych w Gdańsku i Szczecinie etc. Jak zwykle przesadziliśmy, ambitni ponad miarę inwestowaliśmy bez opamiętania, zaniedbując rolnictwo i przemysł środków spożycia — ale to już historia dysproporcji planu 6-letniego i jego październikowych konsekwencji.

Jak na życie jednego pokolenia, wstrząsów i kryzysów nam nie brakowało. Były to jednak zawsze kłopoty wzrostu, bo przecież tak czy owak wszystkiego nam jednak przybywało. Ot, nawet plan 6-letni, pomimo że zakończony niefortunnie z powodu inwestycyjnego przegrzania gospodarki (i zbrojeń, bo pamiętajmy, że był to okres ostrej konfrontacji z Zachodem, wojny w Korei itd.) — i tak przyniósł produkcję przemysłową 2,85 raza wyższą niż w 1949 r.

Nie mniej z wszystkich naszych planów gospodarczych tylko ten pierwszy, 3-letni, w opinii społecznej liczy się najbardziej, ma swoich zwolenników, a nawet admiratorów. Gdyż plan ten był wówczas nie tylko planem gospodarczym, lecz również wizją społeczną, projekcją patriotycznych nastrojów i oczekiwań Polaków, pragnących odzyskać to, co utracili w czasie wojny, pragnących Polski partnerskiej w stosunkach z innymi państwami, Polski zasobnej, uporządkowanej, nie wyciągającej żebraczego ręki po paczkę UNRRA”. (Konrad Strzelewicz, „Gazeta Krakowska”, nr 53).

KRONIKA

● Prawdopodobnie w momencie oddania tego numeru „Kamenu” do rąk czytelników została już połączona chodnikiem dwa szczyby LZW: w Bogdance i Nadrzyniu, oddalone od siebie o ponad 3400 m. Oznacza to pokonanie ważnego etapu na drodze do przemysłowej eksploatacji węgla.
● Miłecja nadal poszukuje dwóch rysunków Jana Matejki, skradzionych 14 kwietnia br. z wystawy w lubelskim Muzeum Okręgowym. Tymczasem organem ścigania,

wspomagany przez społeczeństwo, udało się odzyskać część przedmiotów liturgicznych, wyniesionych przez złodziei z kościoła św. Mikołaja na Czwartku i z kaplicy cementarnej przy ul. Unickiej w Lublinie.

● Wspomnianym kradzieżom można w zasadzie zapobiegać (lepszy dozór i materialne zabezpieczenie obiektów), ale jak chronić klatki schodowe starych, secesyjnych lub międzywojennych kamienic, wyposażonych w cenne detale, które ostatnio zaczęły interesować rabusiów? Oto z kamienicy na rogu ulic: Chopina i Krakowskiego Przedmieścia (na parterze duży sklep z odzieżą) zniknęły niedawno cztery piękne, drewniane słupki balustrady schodów, a płytki podłogi zostały tak obłuzowane, że można je swobodnie zebrać do worka...

● W Lublinie poważnie rozpatruje się możliwość wprowadzenia komunikacji tramwajowej, widząc w niej jedyny środek na

rozwiązanie tych piekielnych problemów lokomocyjnych, jakie spadają na miasto za 6-8 lat, ale już teraz są odczuwalne. Wstępne koncepcje zakładają m. in. przebieg trasy pod Krakowskim Przedmieściem, dlatego — chcemy wierzyć — by uchronić zabytki śródmieścia przed destruktoryjnym drżeniem podłoża, spowodowanym przez tramwaje.

● Trwa depresja w budownictwie mieszkaniowym regionu, które w I kwartale br. wykonano zaledwie 12,2 proc. rocznego planu. Miejmy nadzieję, że powołane w połowie kwietnia w Lublinie Spółdzielcze Przedsiębiorstwo Budowlane godnie nawładze do praktyki swego imiennika sprzed lat i w jakimś odczuwalnym stopniu złagodzi kryzys w tej sferze.

● Wydział Handlu UW w Lublinie zlikwidował instytucję zapisów na meble. Owszem, takie listy otwierały pewnie mar-

gines działania ewanikiom, ale co władze proponują w zamian? Nocne czyszenie przed sklepem na ul. Chopina, jak to niedgdy bywało? I czy ludzie nie mają przypadkiem prawa podać takiego sklepu do sądu za nieotrzymanie obletnicy sprzedanej towaru, usankcjonowanej faktem wpisania na listę, którą sporządzali pracownicy tejże placówki handlowej? Co o tym sądzą Federacja Konsumentów?

● Obyczaje: przed budynkiem przy ul. Rzeckiej 19 (osiędzie in. Prusa LSM) stał mama na trawniku i patrzył z szerokością, jak jej dwoje małych dzieci kopie w owym trawniku dół szerokości prawie półmetrowej. Trawnik jest wydeptany, tasy, ale kto doprowadził do tego, że jest taki, jaki jest? Dodajmy: utrzymanie zieleni w osiedlach kosztowało LSM (czyli członków spółdzielni) w minionym roku 1.322.000 zł, a w bieżącym pochłonęło 2.794.000 zł!

SPRAWY KONSUMENTÓW

Chodzi o ceny sprawiedliwe

2 lutego z inicjatywy Federacji Konsumentów i przy udziale kilku innych organizacji powstała Społeczna Komisja Cen. Jej przewodniczącym został doc. dr hab. Kazimierz Ryć, prodziekan Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, a sekretarzem — dr Marian Górski, pracownik naukowy tegoż Wydziału. W rozmowie z nimi poznajemy motywy powołania i cele działalności SKC, której warszawska siedziba mieści się przy ul. Koszykowej 10.

— Nowe ciało to nowe etaty — może dla ludzi, którzy z racjonalnych powodów zmuszeni zostali do opuszczenia swych dotychczasowych, nierzadko wysokich stanowisk?

— Błąd, redaktorze, rutynowa podejrzliwość. Komisja ma charakter rzeczywistej społeczności i w żadnym fragmencie nie przypomina „przechowalni” kadrowej, czy też ogródka, w którym dorabia się do zasadniczej pensji. Jej skład personalny powołuje prezes Federacji Konsumentów: z ludzi delegowanych przez takie organizacje, jak Liga Kobiet Polskich, ZSMP, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne NOT, Stowarzyszenie Księgowych, ZMW... Ten organ przedstawicielski otwarty jest zresztą dla wszystkich, którzy zechcieliby doń wstąpić.

— Dla wszystkich?

— Poza przedstawicielami producentów i urzędów, to jasne. Komisja skupia obecnie kilkanaście osób, a pracy mamy tyle, że czasami aż ręce opadają. Na szczęście w kilku miastach kraju — w Olsztynie, Gdańsku, Poznaniu, Szczecinie, Katowicach, Krakowie — powstały już Wojewódzkie Społeczne Komisje Cen, które, co warto podkreślić, działają samodzielnie, w niczym nie podlegając Warszawie. Naturalnie, kontakty utrzymujemy, zbierając się wspólnie raz na kwartał celem wymiany doświadczeń.

— Mniej więcej wiemy, ale proszę powiedzieć dokładnie, czym zajmuje się Komisja?

— Pragniemy wyrażać, artykułować opinie konsumentów na temat poziomu i ruchu cen. Nie zajmujemy się przy tym kwestią kosztów utrzymania, bo to domena związków zawodowych. Nie wkraczamy też w kompetencje Federacji Konsumentów w zakresie prawnej ochrony obywateli — klientów naszego handlu i przemysłu. Konkretniej mówiąc: interesuje nas problem cen niesprawiedliwych, a łączy przekonanie, że przy zmianach cen mogą tracić zarówno konsumenci, jak i gospodarka. Podnoszenie cen na różne wyroby i ograniczanie ich produkcji usprawiedliwia się nierzadko brakiem surowców, gdy tymczasem realne tego przyczyną tkwią, bywa tak, w nadmiernym zatrudnieniu, złej organizacji pracy i w nieudolności kierownictwa zakładów.

— Ale jakim cudem niewielka organizacja społeczna może skutecznie tropić cwaniaków, którzy korzystając z depresji i pewnego zamieszania w gospodarce, windują ceny, albo w inny sposób wystawiają do wiatru ludzi z kolejek?!

— Jedynym miernikiem cen jest ich weryfikacja przez rynek. W Polsce nie ma go jeszcze, to prawda, ale funkcjonuje coś takiego, jak opinia konsumentów, oparta na intuicyjnym poczuciu ceny godziwej, sprawiedliwej. I ona właśnie

stanowi m. in. podstawę naszej działalności interwencyjnej. Praktyka potwierdza, że jeśli ludzie wielokrotnie i krytycznie podnoszą jakąś kwestię z interesującej nas tu dziedziny, to coś w tym jest! A takich sygnałów otrzymujemy masę. Podczas tzw. sondy, zorganizowanej za pośrednictwem Polskiego Radia i „Życia Warszawy”, odbyliśmy ponad 400 rozmów z konsumentami, co przy okazji uwiarytelniało celowość istnienia Komisji.

— No i co dalej, co robicie, jeżeli społeczna intuicja okazuje się trafna?

— Możemy interweniować w Urzędzie Cen ministra Krasieńskiego — współpraca układa się nam dobrze — czy w Państwowej Inspekcji Handlowej, które biorą wskazaną sprawę na warsztat kontroli. Możemy robić raban przy pomocy telewizji, radia i prasy, co zresztą okazuje się bardzo skuteczne. Niewykluczone, że dorobimy się pisma, na którego łamach popierać będziemy przyzwolonych i dobrych producentów, a ostrzegać przed złymi.

— Czy poza działalnością tego rodzaju, bezwzględnie potrzebną, rozwijacie inne formy ochrony konsumenta?

— W ramach Komisji istnieje załączek biura, które zajmie się analizą i badaniem cen: w sposób systematyczny, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, a zarazem suwerenny, niezależny od rządu i związków zawodowych. Niektóre prace zamierzamy zlecać ekspertom z NOT-u czy PTE.

— To wszystko wymaga pieniędzy...

— W innych krajach takie organizacje jak nasza utrzymują się z wydawnictw i wygranych procesów, wytaczanych nieuczciwym producentom.

— To znaczy jakim?

— Na przykład wstawiającym do kalkulacji koszty surowca wyższe od faktycznych.

— Czy Komisja odnotowała już jakieś konkretne efekty swej aktywności?

— W lutym zaczęto pobierać wyższe opłaty za usługi realizowane w tym czasie, ale zamówione znacznie wcześniej po niższych cenach. Metodę taką próbowano też stosować w systemie przedpłat na lodówki, meble i inne przedmioty domowego użytku, arbitralnie uznając stare, uzgodnione z klientem ceny za nieaktualne. Ukróćmy te praktyki przez przypomnienie odpowiednich paragrafów kodeksu cywilnego. Również dzięki naszej interwencji do kieszeni wielu osób wrócił po kilka tysięcy złotych, które nadpłaciły one za komplety kuchenne wówczas, kiedy kosztowało to najwięcej, by wkrótce po-

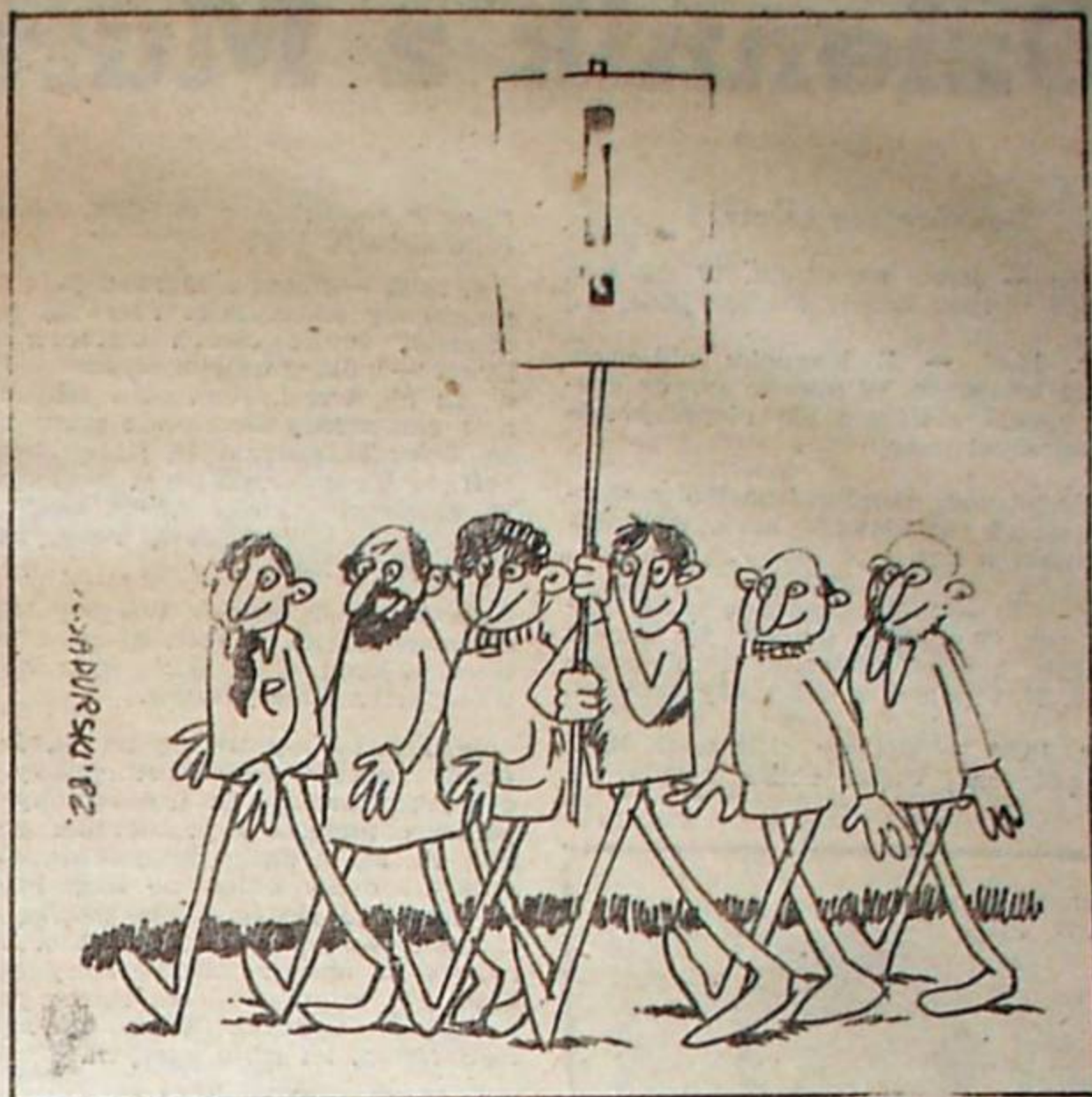
tem, decyzją rządową, znacznie potanieć. A klient wręcz musiał dokonać zakupu w tym najgorszym, jak się okazało, dla niego momencie, ponieważ akurat przypadła jego kolejka. Doprowadziliśmy ponadto do obniżki cen niektórych artykułów dziecięcych (łódeczek, rowerków, kredek), objętych co prawda klauzulą dóbr chronionych przez państwo, ale cóż — w praktyce nierzadko łamaną. Komisja sformułowała też kilka ogólniejszych wniosków, dotyczących relacji między ceną a czasem użyteczności towaru. Chodziłoby więc o to, by np. twaróg, tracący świeżość z upływem dnia, najtańszy był w sklepie wieczorem. Kierujemy się przekonaniem, że cena produktu powinna być proporcjonalna do jego jakości, a jeśli rzecz nie odpowiada normie, musi tracić na wartości. Ważne, że wszystkie te sprawy zostały określone i wyeksponowane dzięki współdziałaniu z konsumentami.

— Wszyscy, niemal wszyscy w kraju narzekają dziś na producentów: konsumenci, handel, wytykając im pazerność, podbijanie cen itp.

— Krytyka ta nie zawsze znajduje wsparcie w znajomości rzeczy. Proszę zwrócić uwagę, jak wysokie bywają podatki i marże. Jesteśmy zdania, że sporo nieporozumień w tym względzie wyjaśniloby wprowadzenie obowiązku umieszczania na metce towaru informacji o rodzaju ceny: czy mamy do czynienia z umowną, regulowaną lub urzędową, jaka jest jej struktura, ile — ewentualnie — państwo dopłaca do produktu. Zmusiłoby to zarazem przemysł i handel do odpowiedzialnego kalkulowania ceny. Czy nie interesuje pana, dlaczego np. samochód, produkt finalny, nie jest obłożony podatkiem, a części zamienne są? I dlaczego stopa podatkowa przecieru pomidorowego sięga 30 procent? Z konsumentem nie wolno grać w chowanego, on powinien znać podstawowe uwarunkowania ceny towaru bez uciekania się do pomocy PIH-u. Komisja sformułowała wniosek w tej sprawie i będzie on przedmiotem rozmów w odpowiednich ministerstwach.

— Wiąże się to chyba z ważną kwestią suwerenności klienta?

— Poruszając ten problem, trzeba powiedzieć uczciwie, że konsument jest zawsze manipulowany. Komisja zmierza tylko do tego, by zyskał on przynajmniej ograniczoną suwerenność, tożsamą z możliwością samodzielnego wyboru towaru i dostępem do informacji — choćby takiej, o jakiej mówiliśmy przed chwilą, czy ogólniejszej, wyjaśniającej mechanizm funkcjonowania rynku, co też uznajemy za jedno ze swoich istotnych zadań. Kierujemy się zasadą, że producentowi nie wolno ingerować w styl życia człowieka. Tymczasem dzieje się inaczej, czego dowodem wzrost cen książek, artykułów sportowych



Rys. Sz. Sadurski

— ograniczający możliwości indywidualnej samorealizacji człowieka.

— Brzmi to pięknie, ale pozwól sobie na pytanie, czy postulaty Komisji materializują się w tzw. życiu?

— Widzi pan, nadal funkcjonuje machina biurokratyczna oparta na rutynie, więc bywa z tym kiepsko. Te metki ze strukturą cen, o których mówiliśmy: powstał problem, kto powinien je drukować — handel czy producent? Kiedy podnosimy sprawę podatków, sugerując przejście z obrotowego na dochodowy, to jedno ministerstwo spławi nas do drugiego. Kiedy prosimy zakłady im. Kasprzaka i „Spółem” w Warszawie o podanie kalkulacji kosztów niektórych wyrobów, styszymy w odpowiedzi, że to ceny wolne, ustalone z handlem — i kalkulacji nie przysyłają. Słyszymy przy okazji, że działalność Komisji ogranicza samodzielność przedsiębiorstw, co niezgodne z istotą reformy gospodarczej. A przecież organizacja nasza, opierająca się w swoich diagnozach na opinii publicznej, w pewnym stopniu musi zastępować nieistniejący rynek, będąc substytutem tego weryfikatora produkcji.

— W praktyce występujecie więc bardziej w roli straszaka, niż armaty. Mówiąc to, nie tracę przecież z pola uwagi realnych osiągnięć Komisji.

— Nie oceniamy własnej działalności na podstawie efektów w zakresie obniżki cen na takie czy inne artykuły. Obok konkretnych dokonania liczy się bowiem sam fakt istnienia Komisji. Jesteśmy przekonani, że głównemu księgowemu jakiejś instytucji zadrzyłby ręką w czasie kalkulowania kosztów produktu i odejmie on choćby jedno zero od swawolnie ustalonej ceny — jeśli przypomni sobie o Komisji. Powtarzamy: sens istnienia SKC sprowadza się w pierwszym rzędzie do wyrażania i eksponowania społecznych opinii i niepokojów. Rzecz w tym, by głosy te, ujęte przez nas w postulaty, wnioski i opracowania, były brane pod uwagę przez odpowiednie instytucje, regulujące naszą gospodarkę.

— Myślę, że w kraju przechodzącym określone i głębokie przeobrażenia strukturalne głos opinii publicznej musi być respektowany, bo w przeciwnym przypadku nie wyjdziemy z naszego „dolka” czy raczej „dotu”...

— Społeczna Komisja Cen będzie zaś dotąd potrzebna ludziom, dokąd zachowa wiarygodność w sferze wyrażania ich doświadczeń i przemysłu.

— Dziękuję panom za rozmowę.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

Dziennik z Murnau

Dokończenie ze str. 1

skich — jedna na pięciu. W dalszym ciągu słycać strzały artyleryjskie. [...]

g. 14.00 — Z kierunku płd.-zach. silna kanonada. W mieście syreny grają sygnał zbliżania się nieprzyjacielskiej broni panc.

Posterunek niemiecki na budce wartowniczej rozładowuje broń, odstawia karabin w ką.

g. 15.00 — Silna kanonada w kierunku płn. Wyraźnie słycać już nawet strzały km-ów, widoczne dymy pożarów. Nad polem walki krąży samolot.

g. 16.00 — Strzały cichną. O 16.20 w północnej części obozu zjawia się



Autor publikowanego skrótu dziennika, oficer lubelskiego 8 Pułku Piechoty Legionów, ppor. Roman Jarosz, urodził się na Ziemi Hrubieszowskiej, z którą związana była cała jego rodzina. Do szkoły średniej uczęszczał w Hrubieszowie, maturę otrzymał w gimnazjum w Tomaszowie Lubelskim. Po ukończeniu zawodowej podchorążówki artylerii lekcyj w Grudziądzu skierowano go do 8 p.p. Leg. w Lublinie.

W czasie kampanii wrześniowej ppor. Roman Jarosz walczył na Lubelszczyźnie. Do niewoli niemieckiej dostał się w nocy z 27 na 28 września. Wraz z innymi jeńcami przewieziono go do oflagu VII A w Murnau.

Murnau to jeden z największych „polskich” jeńskich obozów oficerskich. W końcu wojny przebywało tam ok. 6 tysięcy oficerów. Wziętych było w Murnau kilkudziesięciu polskich generałów i jeden kontradmirał — m. in. dowódca obrony Warszawy, gen. dyw. Juliusz Rómmel, gen. gen. Tadeusz Piskor, Tadeusz Kutrzeba, Władysław Bartoszewski, Roman Abraham, Walerian Czuma, Czesław Mlot-Fijałkowski, Antoni Szylling, Wiktor Thommée, kontradm. Józef Unrug.

Dziennik, opisujący wyzwolenie obozu w Murnau i odnotowujący pierwsze wrażenie po odzyskaniu wolności, rozpoczął ppor. Roman Jarosz 28 kwietnia 1945 r. i prowadził go do 15 czerwca tegoż roku. W sposób niezwykle barwny, szczerze, krytyczny — nieraz gorzki — ukazuje w nim autor otaczającą rzeczywistość, rysuje autentyczny obraz Niemiec tuż po zakończeniu wojny i sytuację polskich oficerów, byłych jeńców wojennych oraz sytuację polskiej ludności cywilnej przebywającej na tych terenach. Ówczesne radości, tragedie, nadzieje i niepokoje — zarówno polityczne, jak i osobiste — ludzi już wolnych, ale wciąż jeszcze na swój sposób zamkniętych za drutami, ich usiłowanie i trud przystosowania się do nowego życia, rysuje ppor. Jarosz z prawdziwie reporterskim, chwila, zacięciem. Warto też zwrócić uwagę na fakt, że „Dziennik z Murnau” pisany jest z punktu widzenia oficera młodszego, reprezentanta najszerzej społeczno jeńckiej w Murnau. Jest wreszcie „Dziennik” — interesującym uzupełnieniem dotychczasowej literatury n.t. obozu w Murnau.

Po wojnie ppor. Roman Jarosz wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Zmarł w Chicago w 1968 r., prosząc przed śmiercią o przekazanie swoich osobistych papierów, również obozowych notatek, rodzinie zamieszkałej w Lublinie. Ta droga trafiły one w końcu także i w moje ręce.

Mirosław Derecki

pierwszy czolg amerykański, za nim wiele innych. Zatrzymują się przed obozem. Hptm. Pool z całą wartą wychodzą z białą chorągwią. Obóz ogarnia szal radości. Rwą druty, wlażą na dachy, wyglądają oknami. Krzyki, wiaty. Bliżsi całują się z radością, Ame-

rykanie wychodzą z czolgów, fotografują, filmują.

g. 16.23 — Szosą z Murnau jadą trzy samochody niemieckie. Pierwszy wóz, otwarty, wiezie dwóch oficerów SS. Drugi — półciężarówka terenowa kryta, za nią trzeci. Naprzeciw izby chorych samochody niemieckie zatrzymują się. Odnosi się wrażenie, jakby Niemcy byli bardzo zaskoczeni tym spotkaniem. W momencie, kiedy zdecydowali się wysiąść z samochodów, Amerykanie otworzyli ogień.

Akcja trwała krótko. Wszyscy Niemcy zostali zabici, samochody zniszczone, trzeci spłonął. Cała akcja była filmowana przez Amerykanów.

Jeśli zwrócimy uwagę na to, że ze strony jeńców taki obrót sprawy nie był przewidziany, że uzasadniony zupełnie entuzjazm i podniecenie wpłynęły na to, iż dachy budynków, okna, ściany i druty oblepione były ludźmi — zrozumie się powstałą panikę. Na szczęście wszystko trwało krótko. Ofiary wśród obozu: zmarł ranny ppor. Mazurek; kilku rannych, szereg pokaleczonych wskutek tumultu, Hptm. Pool ranny, na izbie chorych.

g. 16.30 — Obóz uwolniony przez 7 Armie Amerykańską. Wzięty do niewoli oddział niemiecki, z rękoma do góry biegnie przed czołgiem amerykańskim. Oddziały polskie odbierają Niemcom broń, przejmując służbę wartowniczą w całym obozie.

Przyprawieni Niemcy są rozbrajani i zamykani na wartowni.

Do obozu ściągają będący na robotach Polacy, Polki i inne narodowości.

Wzruszające sceny radości. Przybyli całują się, rzucają się oficerom na szyję, placzą.

Jedną z Polek zapytana, czy się jeszcze boi, odpowiada z radością: „Już niczego się nie boję, bo mam wojsko swoje”.

Na wieżę obozową zawieszają polską chorągiew. Do obozu przybywa szereg samochodów przedstawicieli MCK.

Do samego wieczora w obozie podniecony ruch. W oddali słycać jeszcze odgłosy bitew. Szosą przed obozem prawie do godz. 23.00 ciągną czołgi amerykańskie.

Budynki obok obozu dogorywają. [...]

g. 21.50 — Odczytanie rozkazu gen. dyw. Rómmela z okazji uwolnienia obozu z niewoli niemieckiej.

g. 22.00 — Capstrzyk. Do późnej godziny w bloku opowiadano wrażenia z dnia minionego. Ostatnia wiadomość: Monachium wzięte bez walki.

W Murnau wzięto około 1000 jeńców, w tym 50 oficerów. Hptm. Pool, Gaciński i Białas byli na usługach Polaków.

29/30.IV. Noc chłodna. Cisza prawie grobowa do rana.

30.IV. — poniedziałek, g. 8.30 — Rozkaz gen. dyw. Rómmela Nr 2. Z dniem dzisiejszym obóz przemianowany został na Polski Ośrodek Wojskowy Murnau. Dowódcą Ośrodka jest gen. Rómmel, komendantem garnizonu — płk. Korycki. Utworzone zostały: Sztab D-cy, Szefostwa łączności, Sprawiedliwości. Grupy marszowe przemianowane zostały na legie: piechoty, kawalerii, saperów itd. [...]

g. 15.00 — Obiad spóźniony z powodu braku wody na skutek uszkodzenia wodociągów przez działania wojenne.

Sprawy zaprowiantowania obozu na razie napotyka trudności z powodu braku środków lokomocji. Żądania polskie dostarczenia żywienia dla Ośrodka zostały przedstawione burmistrzowi Murnau. [...]

W obozie widać już szereg samochodów niemieckich przemalowanych na polskie. Jeńcy niemieccy używani są do robót porządkowych w garnizonie pod nadzorem szeregowych polskich. W międzyczasie do Ośrodka sprowadzani są nowi jeńcy niemieccy. W godzinach obiadowych ppor. Ollech [?] — red.] przyprowadził do Ośrodka hptm. Oleskę i ofldr. Spatha. Niezależnie od tego do Ośrodka napływa nadal ludność cywilna będąca na robotach w Niemczech,

Pomimo dnia pochmurnego krążą samoloty amerykańskie; dwa wylądowały na pagórku obok obozu. Szosą w dalszym ciągu ciągnie amerykańska broń pancerna i artyleria. W kierunku płn. słycać strzały artyleryjskie.

Upoważnieni oficerowie polscy udający się do miasta w sprawach służbowych opowiadają, że Amerykanie w spotkaniu z nimi nie okazują sentymentu, a są raczej bardzo bezpośredni.

Wydane zostały papierosy angielskie, zapalki, żyłki, papier higieniczny, 1 paczka (żywnościowa) amerykańska na 8-miu, 1 paczka francuska na 9-ciu. Do obozu nadeszło kilka wozów z żywnością: mleko, chleb, margaryna. O godz. 16.50 do Ośrodka przyprowadzony został Freisinger i osadzony na wartowni. Komunikatu o 17.45 nie było z powodu braku światła.

g. 18.30 — Odczytanie szeregu rozkazów [m.in. na temat polskiej organizacji obozu — red.]

[...] Z dniem dzisiejszym codziennie ukazywać się będzie biuletyn informacyjny.

Na północy Alianci idą naprzód. 3 Armia wkracza w głąb Austrii i Czechosłowacji. 7 Armia zajęła Monachium, opanowała rejon Oleramergau i jest w trakcie uderzenia na Innsbruck. W Garmisch Niemcy bronią się. 7 dyw. angielska „Synów Pustyni” uwolniła karny Stalag 11 b (w rejonie Bremy), gdzie znajdowało się kilkanaście tysięcy Polaków, między innymi żołnierze b. AK. Kolo Landsbergu oddziały amerykańskie, zajmując ten region, znalazły przeszło 200 zwłok Polaków zmarłych z głodu. Komendant obozu został schwyty, a ludność cywilna zmuszona do pochowania zwłok. Zwłoki te Niemcy przed przybyciem oddziałów amerykańskich usiłowali spalić. W rejonie Weimaru wykopano kilkanaście tysięcy pomordowanych Norwegów i innych narodowości, m.in. Żydów, zagłodzonych przez Niemców. Stwierdzono straszne zmasakrowanie więźniów. Oddziały sowieckie kończą zdobywanie Berlina. We Włoszech pogrom wojsk niemieckich.

Ogólnie: Ley, Ribbentrop i inni przywódcy hitlerowscy — zniknęli. Hitler umierający, Himmler, dla zado-

w życiu wewnętrznym. Wyżywienie znacznie opóźnione i w niedostatecznej ilości. Słycać coraz szersze głosy niezadowolonia z powodu braku porządku i miękkości w stosunku do Niemców. Pomimo rozkazów szeregu oficerów w jakiś dziwny sposób udaje się do miasta, zaopatrując się we wszystko we własnym zakresie. Po wodę do picia stoją oficerowie polscy w ogonku, aby zaczerpnąć jej w źródleku na łące obok Ośrodka. [...]

W dniu dzisiejszym u gen. dyw. Rómmela zjawili się d-ca 12 dyw. panc. amerykańskiej, gen. Allen, w towarzystwie 2 pułkowników — w tym jeden Polak, urodzony w Ameryce. Gen. Allen stwierdził, że sytuacja jest odprężona, ale jeszcze nie opanowana całkowicie. Gen. Allen wyraził swój podziw dla bohaterstwa żołnierzy polskich. [...] Odnosnie naszego obozu stwierdził, że spotkał tu nadzwyczajną dyscyplinę i organizację (przy czytaniu tego na sali był ryk śmiechu, trudno do powstrzymania). Wie dobrze, cośmy przeszli, widać to po wychudzonych twarzach i sylwetkach. Ale oczy polskie patrzą dumnie i po żołniersku. Zapewnił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by polepszyć nasze warunki żywnościowe. [...]

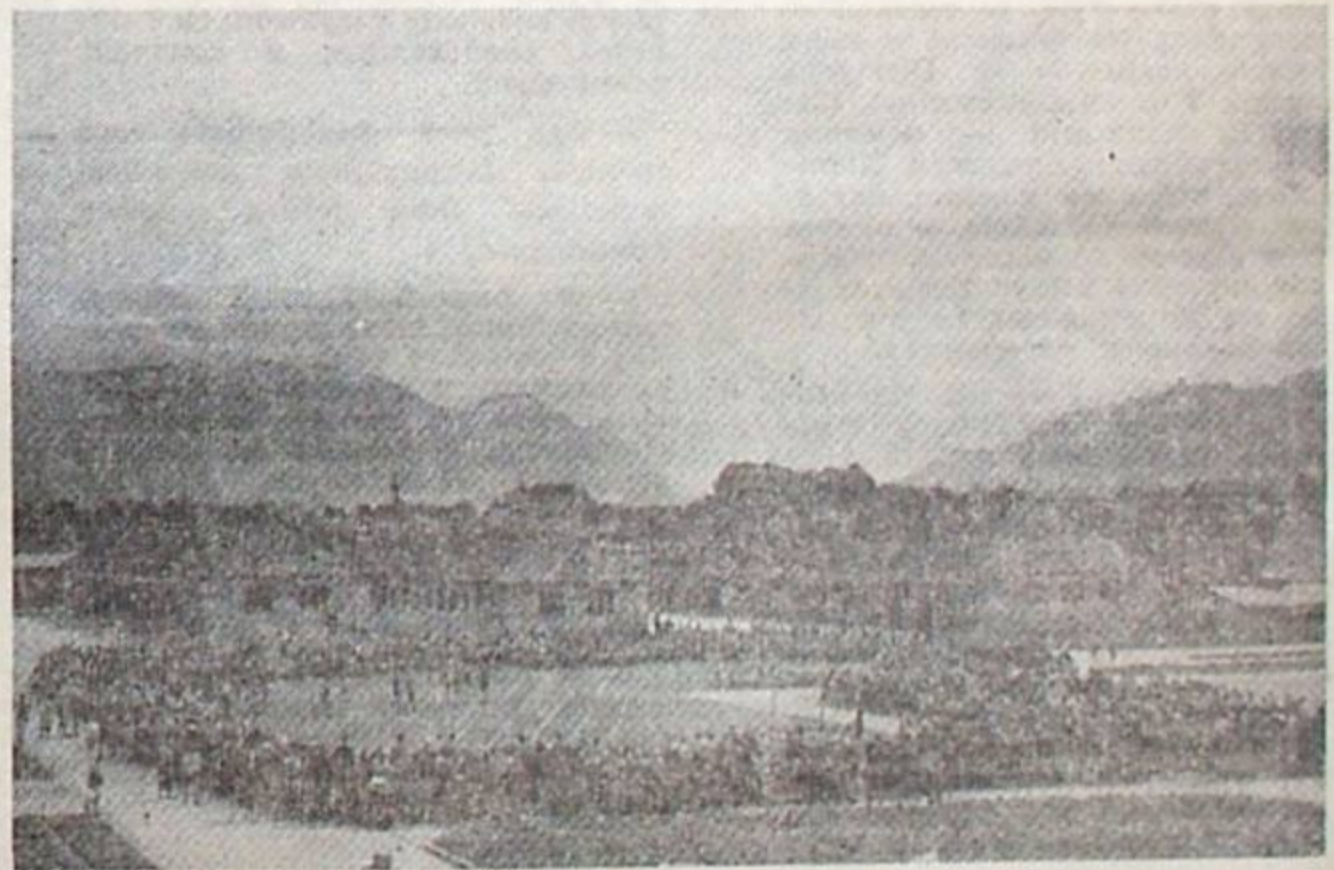
Od jutra mają odbywać się spacer w grupach — część oficerów z bronią. Organizacja spacerów — w ramach Legii, z tym, że 1/3 oficerów musi stale przebywać w Ośrodku. Szosa i miejscowość Murnau nie mogą być wykorzystane.

Przepisy porządkowe dla Niemców w Murnau: po zajęciu Murnau władze amerykańskie rozlepiły na mieście ogłoszenia w języku niemieckim, grożące karą śmierci za wszelkie akty gwałtu i plądrowania oraz za kradzież. Ludność niemiecka może wychodzić z domów w godz. 7—11, 15—18. Należy ściśle przestrzegać zaciemnienia. Broń i amunicję należy złożyć u burmistrza.

Służba na dzień 2.V.br. 1 Legia. Wyżywienie w dniu dzisiejszym: obiad — godz. 19.00 — 1/2 l gulaszu, zupa mleczna, 259 g chleba; bez kartofli.

Cały dzień pada śnieg. Nastroje fatalne. Bez przerwy słycać opowiadania różnych historyjek, zupełnie zrestytą nie budujących. „Szaber” naszych oficerów udających się do miasta, przywożenie żywności na prywatny użytek, zachowanie się — po prostu nie można tego opisywać.

Ppor. Nalaszek i Dudziak, którzy mieli służbę w koszarach artylery-



Oflag w Murnau.

kumentowania swej dobrej woli wobec Aliantów, zaofiarował się przedstawić im zwłoki Hitlera. [...]

Wiadomości z Murnau: Dziś przeszła w kierunku południowym 12 dywizja pancerna amerykańska. Ludność niemiecka bardzo potulna, w ogonkach czeka na żywność.

Z uwagi na brak wody i światła — Święta Uwolnienia przełożono na dzień 3 maja b.r.

30.IV/1.V. We wczesnych godzinach porannych jakaś grupa pancerna amerykańska przeszła w kierunku Monachium.

W obozie brak wody i światła, a w związku z tym straszne zamieszanie

szych, są bardzo oburzeni na postępowanie wychodzących do miasta. Dudziak opowiada, że w rozmowie z Amerykanami nie przyznał się, że jest oficerem, a zapytany o gwiazdkę na ramieniu oświadczył, że jest to odznaka za rany. Dyskusje w blokach, garażach i na placu — na te tematy; zupełnie głośnie i przykre dyskusje.

Do obozu w dalszym ciągu napływają Polacy. Polacy, którzy służyli w armii niemieckiej, są przemundurowywani i wcielani do kompani strzeleckich. [...]

Chodzą pogłoski, że w najbliższych dniach mają być wywiezieni z naszego Ośrodka Amerykanie i Anglicy, później nasi generałowie, dalej — oficerowie roczników od 1913 w górę. [...]

Rozmowa Stalina z Żymierskim

Dokończenie ze str. 1

rywał, pytania zadawał dopiero po wyczerpaniu tematu przez generała.

— A jak przedstawiają się plany organizowania Wojska Polskiego na wyzwolonych terenach? — zapytał Stalin.

Gen. Żymierski wysunął wówczas śmiałą tezę:

— Jeśli Polska otrzyma broń, amunicję, mundurowanie oraz instruktorów i dowódców, to będzie w stanie wystawić milionową armię.

Na twarzy Stalina odbiło się niedowierzanie.

— Dostrzegam tu pewną rozbieżność pomiędzy obrazem zniszczeń kraju a możliwością sformowania milionowej armii — zauważył.

Gen. Żymierski powołał się na patriotyczne dążenia Polaków, ogólną nienawiść do najeźdźcy i przedstawił możliwości mobilizacyjne w Polsce.

— W okresie międzywojennym — mówił — nasze możliwości mobilizacyjne wynosiły blisko 200 tys. poborowych rocznie. Biorąc pod uwagę roczniki, które podlegały mobilizacji w okresie II Rzeczypospolitej, a które nie zostały zmobilizowane bądź uniknęły niewoli oraz te roczniki, których przez pięć lat okupacji nie powoływano do wojska, uzyskamy około miliona żołnierzy. Jest to realne, pomimo strat, jakie spowodowała okupacja. Znany jest precedens organizacji Armii Polskiej w Związku Radzieckim — ciągnął dalej — pragnąc uzyskać przychylność Stalina dla tej idei. — Jeśli udało się w Związku Radzieckim zorganizować jedną polską armię, to przecież kraj dysponuje w tym względzie większym potencjałem ludnościowym. Istnieją zatem wszelkie szanse wystawienia dwóch następnymi armii.

— Przyjmuję do wiadomości wasze argumenty — odparł Stalin. Ale szczegółowe decyzje będą wymagać konsultacji z naszym Sztabem Generalnym.

Gen. Żymierski prosił jeszcze o pomoc w zaopatrzeniu w sprzęt wojskowy i broń dla oddziałów partyzanckich AL operujących na zapleczu frontu niemieckiego na terenach Polski. Prosił ponadto o wyrażenie zgody na czasowe odkomenderowanie do dyspozycji władz polskich oficerów narodowości polskiej służących w Armii Radzieckiej, by organizowali oni związki taktyczne i operacyjne Wojska

Polskiego. Stalin wyraził w zasadzie na to zgodę, ale szczegóły polecił uzgodnić ze Sztabem Generalnym Armii Radzieckiej.

— Towarzyszu marszałku — powiedział jeszcze gen. Żymierski czując, że rozmowa dobiega końca. — Kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej upoważniło mnie do przedstawienia wam jeszcze jednego problemu.

— Słucham — rzekł Stalin.

— Kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej prosi was bardzo gorąco, abyście na przyszłej konferencji trzech mocarstw bronili naszych praw do zachodnich granic na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Marsz. Stalin był tym wyraźnie zaskoczony.

— Rząd Sikorskiego — rzekł po chwili namysłu — nie wysuwał tak daleko idących postulatów. Muszę się liczyć z układem sojuszniczym, z osiągniętymi już porozumieniami — podkreślił z naciskiem. — I po chwili dodał: — Trzeba mieć argumenty, motywy, uzasadniające ten postulat w rozmowach z zachodnimi sojusznikami.

— Mamy argumenty — powiedział gen. Żymierski. — Pierwszy argument to bezpieczeństwo przyszłego państwa. Położenie Polski do 1939 roku z punktu widzenia obronności kraju było po prostu tragiczne. Granica z Niemcami wynosiła prawie 2 tys. kilometrów. Stara granica oskrzydlała Polskę od północy i południa. Przesunięcie granicy na linię Nysy Łużyckiej — dowodził — pozwoli na skrócenie styków granicznych z Niemcami, wyrównanie jej z korzyścią nie tylko dla Polski, ale i dla Czechosłowacji. Zlikwidowałoby to bowiem klin, który wchodził pomiędzy terytorium obu państw, stwarzając dogodne wyjście operacji zaczepnych przeciwko nim. Ustalenie linii prostopadłej do Bałtyku, wzdłuż obu rzek, stworzy korzystną granicę ze strategicznego punktu widzenia.

Następnie szerzej nakreślił historyczne aspekty granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

— Jest ta granica dla narodu polskiego — ciągnął — sprawą zasadniczą i decydującą. Obecnie powstaje historyczna szansa odwrócenia niekorzystnych dla Polski procesów dziejowych, w których wyniku była ona spychana na wschód i została wyparta z terenów stanowiących ongiś kolebkę państwowości polskiej. Towarzyszu marszałku, znacie dzieje tych ziem wraz z Wrocławiem, ich słowiański rodowód

i charakter narodowościowy, skutki niemieckiego parcia na wschód i efekt polityki państwa junkiersko-pruskiego, rozrastającego się kosztem ziem słowiańskich. Powrót Polski na terytorium zrabowane w ciągu wieków byłby aktem historycznej sprawiedliwości.

Stalin słuchał z zainteresowaniem, od czasu do czasu potakując głową.

— Czy macie jeszcze jakiejś sprawy? — zapytał.

— Tak, mamy jeszcze jedną, prosimy o włączenie Szczecina do Polski.

— Ale przecież Szczecin leży na lewym brzegu Odry! To będzie skomplikowana sprawa — odpowiedział Stalin.

— Nie trzeba uzasadniać znaczenia gospodarczego tego miasta dla naszego przyszłego państwa — portu związanego z drogą wodną Odry. Przed rokiem 1939 Wisła należała do nas, ale Gdańsk w istocie był opanowany przez Niemców. Nie mogliśmy w pełni korzystać z tej drogi dla transportu naszych towarów. To samo mogłoby się powtórzyć ze Szczecinem. Jeżeli mamy gospodarczo stanąć na nogi, to cały Szczecin powinien bezwzględnie należeć do Polski. Tu nie chodzi o jakiś większy obszar, tylko o to, żebyśmy same miasto, z wyjściem na morze, należało do nas. Jeśli teraz popełnimy błąd w decyzjach, to mieć się one będą w następnych dziesiątkach lat.

Stalin w milczeniu przemierzał gabinet. Raptorem podszedł do biurka i nacisnął przycisk dzwonnka.

— Przynieście mi mapę środkowej Europy i szczegółowe mapy z Wisłą i Odrą — rozkazał adiutantowi.

Następnie wpatrywał się w nie dłużej, po czym przytaknął skinięciem głowy i stwierdził:

— Tak, przytoczone argumenty mogą stanowić podstawę do dyskusji. A teraz, generale, będziecie prowadzili dalej rozmowy ze Sztabem Generalnym na temat organizacji i tworzenia Wojska Polskiego.

Nad ranem, kiedy skończyło się to pierwsze spotkanie z marsz. Stalinem, odwiedził gen. Żymierskiego do tego samego apartamentu, w którym już uprzednio przebywał.

— Pozostałem sam — mówi. — Długo nie mogłem zasnąć. Zdawałem sobie sprawę z tego, jak ważne znaczenie może mieć ta rozmowa dla demokratycznej Polski.

(„WPH”, nr 3, 1980 — fragmenty)

Leszek Grot

BILANS

DRUGA wojna światowa była największą i najkrwawszą ze wszystkich wojen, jakie poznała ludzkość w ciągu swego istnienia. Poprzedzona szeregiem pozornie lokalnych konfliktów, w rodzaju agresji japońskiej w Chinach, napaści Włoch na Abisynię, wojny domowej w Hiszpanii, czy podboju Albanii, a zapoczątkowana otwartym najazdem hitlerowskim na Polskę, ogarnęła wkrótce niemalże całą Europę oraz znaczne połacie Afryki i Azji. Mało kto mógł przypuszczać owego pamiętnego września 1939 r., że rozpętna przez fazę wojna trwać będzie 6 lat i 1 dzień, wciągając w swój niszczycielski wir aż 61 państw (tylko 6 państw pozostało neutralnych) zamieszkałych przez 1 miliard 700 milionów ludzi, że spustoszy obszary 40 państw, o ogólnej powierzchni 22 milionów km², czy też, że w jej wyniku straci życie około 55 milionów ludzi (średnio każdego dnia wojny ginęło 17 tysięcy ludzi), a 110 milionów będzie musiało znaleźć się pod bronią.

Ogólne bezpośrednie wydatki na potrzeby wojny oszacowane zostały na astronomiczną sumę 1117 miliardów dolarów. Ogólnie zaś straty w ludziach krajów europejskich wyniosły ponad 41 milionów osób. Ogólna wartość strat poniesionych przez kraje europejskie wskutek zniszczeń wojennych osiągnęła sumę ponad 253 miliarda 117 milionów dolarów. Wydaje się, iż dla lepszego uwidocznienia udziału poszczególnych krajów Europy w zmaganiach drugiej wojny światowej warto przytoczyć się liczbom:

— Związek Radziecki stracił 20 milionów swych obywateli (w tym 13 milionów wojskowych i 7 milionów osób cywilnych), a jego straty materialne wyniosły 123 miliardów dolarów;

— Niemcy straciły 9 milionów 700 tysięcy ludzi (w tym 9 milionów 200 tysięcy wojskowych i 800 tysięcy osób cywilnych), a ich straty materialne oszacowano na 48 miliardów dolarów;

— Polska straciła 6 milionów 28 tysięcy swych obywateli (z czego 644 tysiące wojskowych i 3 miliony 234 tysiące osób cywilnych), a straty materialne oszacowano na 16 miliardów 852 miliony dolarów;

— Jugosławia straciła 1 milion 706 tysięcy ludzi (w tym 300 tysięcy wojskowych i 1 milion 406 tysięcy osób cywilnych), a jej straty materialne określono sumą 9 miliardów 145 milionów dolarów;

— Francja straciła 653 tysiące ludzi (w tym 200 tysięcy wojskowych i 453 tysiące osób cywilnych), zaś jej straty materialne obliczono na 21 miliardów 143 miliony dolarów;

— Rumunia straciła 600 tysięcy ludzi (w tym 300 tysięcy wojskowych i 300 tysięcy osób cywilnych), zaś jej straty materialne oszacowano na 683 miliony dolarów;

— Grecja straciła 558 tysięcy ludzi (w tym olbrzymią większość stanowiła ludność cywilna), jej straty materialne oszacowano na 2 miliardy 545 milionów dolarów;

— Stany Zjednoczone Ameryki Północnej straciły 405 tysięcy ludzi, z czego ogromną większość stanowili wojskowi;

— Austria straciła 409 tysięcy ludzi (w tym 300 tysięcy wojskowych i 100 tysięcy osób cywilnych), jej straty materialne natomiast wyniosły 534 miliony dolarów;

— Węgry straciły 385 tysięcy ludzi (w tym 25 tysięcy wojskowych i 360 tysięcy osób cywilnych), zaś ich straty materialne oszacowano na 4 miliardy 330 milionów dolarów;

— Anglia straciła 375 tysięcy ludzi (w tym 300 tysięcy wojskowych i 75 tysięcy osób cywilnych), a jej straty materialne oszacowano na 6 miliardów 283 miliony dolarów;

— Czechosłowacja straciła 250 tysięcy ludzi (w tym 50 tysięcy wojskowych i 200 tysięcy osób cywilnych), jej straty materialne oszacowano na 4 miliardy 202 miliony dolarów;

— Włochy straciły 210 tysięcy ludzi (w tym 160 tysięcy wojskowych i 50 tysięcy osób cywilnych), straty materialne oszacowane zostały na 2 miliardy 900 milionów dolarów;

— Holandia straciła 200 tysięcy ludzi (w tym przeważającą część stanowiła ludność cywilna), jej straty oszacowano na 4 miliardy 412 milionów dolarów.

— Belgia straciła 88 tysięcy ludzi (w tym przytłaczającą większość stanowiła ludność cywilna), jej straty materialne oszacowano na 2 miliardy 278 milionów dolarów;

— Bułgaria straciła 15 tysięcy ludzi (w tym głównie wojskowych), jej straty materialne oszacowano na 420 milionów dolarów;

— Norwegia straciła 8600 ludzi, a jej straty materialne oszacowano na 1 miliard 203 milionów dolarów;

— Luksemburg stracił 5000 ludzi, Albania — 28 000, Nowa Zelandia — 10 000, Kanada — 41 000, Indie — 719 000, Australia — 12 000, Unia Południowoafrykańska — 6000.

Innymi słowy, na każdy 1000 mieszkańców zginięło w latach 1939-1945: w Polsce — 220 obywateli, w ZSRR — 116, w Jugosławii — 108, w Grecji — 70, w Albanii — 24, w Holandii — 22, w Luksemburgu — 17, w Francji — 15, w Czechosłowacji — 15, w Belgii — 10, w W. Brytanii — 8, w Nowej Zelandii — 6, w Kanadzie 3,4, w Norwegii — 3, w Stanach Zjednoczonych — 2,9, w Indiach — 2, w Australii — 2, w Unii Południowoafrykańskiej — 0,6; straty zaś materialne w przeliczeniu na głowę ludności wyniosły: w ZSRR — 745 dolarów, w Polsce — 626, w Jugosławii — 601, w Holandii — 520, w Francji — 504, w Norwegii — 434, w Czechosłowacji — 407, w Grecji — 368, w Belgii — 377.

Straty materialne ośmiu krajów: Albanii, Luksemburga, Kanady, Danii, Indii, Egiptu, Nowej Zelandii, Australii, Unii Południowoafrykańskiej — osiągnęły łącznie sumę 679 milionów dolarów. Nie można zapominać również o wielkich stratach ludzkich i materialnych takich państw, jak Chiny i Japonia.

Ciężka i krwawa daninę musiała, jak wiadać, zapłacić narody Europy i świata za błąd dopuszczenia do narodzin i rozwoju w samym sercu Europy barbarzyńskiego imperium Hitlera. Tym bardziej więc były zainteresowane w stworzeniu takiego nowego porządku, który zabezpieczyłby ludzkość przed powtórzeniem się prowadzących ku nowej wojnie wydarzeń, podobnych tym, jakie zaszły przed rokiem 1939.

(Z książki „Upadek III Rzeszy”, LSW, 1975 — F. Bernasia i J. Mikulskiej-Bernas).

2.V. — środa. Rano pogrzeb śp. ppor. Mazurka Alojzego. Rozwiązanie oddziału R. J. (Römmel Juliusz). 8.50 — zbiórka 1 Legii do objęcia służby.

W obozie jest już woda do gotowania, tak że obiady otrzymujemy o godz. 12.30. [...]

Od godz. 14.00 jako 1 Legia piechoty obejmujemy służbę wartowniczą. [...]

Spacery w teren grupami. Nie wolno chodzić do miasta i głównymi szosami, aby nie tamować ruchu wojskom amerykańskim.

2/3.V. Służba wartownicza. Nie stoję na posterunku, ale jestem swego rodzaju pomocnikiem d-cy warty, mjr. Sochackiego. W nocy duży śnieg, prawie zamieć.

3.V. — czwartek. Uroczystości specjalnych nie było z uwagi na niepogodę, w dalszym ciągu brak wody i stosunkowo duży bałagan. Zapowiedzianego przyjazdu przedstawicieli rządu brytyjskiego i gen. Eisenhowera — nie było.

O godz. 15.00 — koniec służby wartowniczej. Przemówienie przez radio angielskie prezydenta Raczkiwicza i premiera Arciszewskiego. Kapitulacja Włoch.

Z dniami 4.V.br. przechodzimy na wyżywienie amerykańskie. W związku z powyższym wieczorem wydany nam został suchy prowiant.

Polski oficer łącznikowy — w Ośrodku.

4.V. — piątek. W związku z przybyciem polskiego oficera łącznikowego do obozu, ołbrzymia ilość „jobów”, o czymś w związku z naszymi rzekomymi wyjazdami. Urodziny po 1910 r. mają wyjechać do Anglii; starsze roczniki — do Francji. W obozie panuje ruch, ponieważ część oficerów ma być przeniesiona do koszar w mieście. [...]

O godz. 14.00 idę na pierwszy spacer. Na dworcu spalone pociągi. Nad jeziorem Staffelsee obóz — właściwie mała fabryczka przyrządów precyzyjnych, w której zatrudnieni są przewiezieni z Dachau (kilkadziesiąt osób). Ludność niemiecka strasznie potulna.

Wieczorem zawiadomiono nas, że możemy napisać listy do Anglii, Ameryki i krajów armii sprzymierzonych. Z wyżywieniem dzisiaj słabo — trzy paczuszki amerykańskie na cały dzień; owszem, dobre to jest, ale dla młodzieńca na jeden raz.

5.V. — sobota. Dzień pochmurny, ciepły. Wyjścia do miasta grupami. Wydano suchy prowiant.

Dania i Holandia skapitulowały. 7 Armia Amerykańska przeszła przez Brenner do Włoch. Zniesiono przepustki.

6.V. — niedziela. Amerykanie władzę wojskową w Murnau powierzyli Römmelowi. Wszyscy oficerowie Ośrodka podpisali rozkaz specjalny o przynależności do WP oraz o przepisach dotyczących byłych jeńców wojennych.

Wychodzenie do miasta bez przepustki od godz. 6.00 do 12.00 i od 14.00 do 21.00. Od 12.00 do 14.00 — zajęcia w Legiach. [...]

7.V. — poniedziałek. W dniu 5 maja zmarł śp. por. Maksymilian Skotnicki.

Przez 7 Armie Amerykańską uwolniony został gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski, który przybył do naszego Ośrodka. Z Borem uwolnieni zostali: Lord La Sell, kuzyn rodziny królewskiej, oraz por. Winant, syn ambasadora amerykańskiego. Do obozu przybyli ponadto uwolnieni: gen. bryg. Tadeusz Kossakowski, Tadeusz Pelczyński, Kazimierz Sawicki, Albin Skroczyński, Antoni Chróścień, płk. dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki oraz 5 innych oficerów i 7 szeregowych.

180 oficerów i szeregowych francuskich wyjechało z naszego Ośrodka samochodami MCK do Szwajcarii.

3-godzinny spacer łodzią po Staffelsee. Jestem niezdrow z powodu zatrucia suchym, sproszkowanym serem niemieckim. Pogoda świetna — upał.

O godz. 2.41 Niemcy podpisały bezwzględną kapitulację. Koniec wojny w Europie.

Dokończenie nastąpi

Roman Jarosz

1) Niemiecką Komendą Obozu (red.), 2) piątek, 3) Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Bez granic bez rozsądku

Marek Soltysik

TYLKO zegar wyznaczał w domu Emei pory dnia. Zaczynały drażnić mnie okna — dokładnie zasłonięte ciężkimi storami. U siebie czasem robiłem sobie taki nastrój; bywało, że półmrok trwał nawet tydzień, ale za to w nocy nic mi nie przeszkadzało otworzyć okna. Poza tym wszystko to wnikało z mojej własnej woli uczynienia niezbędnej samotności, która się nieraz okazywała lekarstwem; przez rok nauczyłem się je właściwie dawkować.

A teraz nieustannie sztuczne światło irytowało. I to nie tylko skutkiem przekory wynikającej z odwiecznej potrzeby wolności. Chciałem znać prawdę o działaniu dnia na ścianę, na wszystkie sprzęty w pokoju Emei. Także ją w dziennym świetle pragnąłem zobaczyć; nie tylko okno.

Zastanawiałem się, jaka to dzisiaj pogoda w Grembozarzewie. Gdzie indziej był maj, w tym roku słoneczny i ciepły; wczoraj zastałem tu śnieg, który ciągle prószył i osiadał bez przeszkód na płytach chodnika, na dachach, mimo nieznanego tylko przymrozku. Frapowała tak radykalna zmiana aury. Dziwne — ale ze słych wątpliwości kępowałem się zwierzać Emei, choć miałem pewność, że śniegów nie był tylko przywidzeniem zmęczonego człowieka. Bo przecież od śniegu się zaczęło; od zaczepki wyrostków rzucających śnieżkami.

— Za pół godziny rozpocznie się pora obiadowa — rzekłem z nadzieją, że wkrótce sam się przekonam. — Będziemy mogli wreszcie wszystko zobaczyć.

— Cieszysz się z tego? — Wyglądała na podnieconą, ale w jej głosie nie trudno było wyczuć rozdrażnienie.

— Pewnie, że się cieszę. Może wreszcie znajdziemy wyjście z tej obrzydliwości.

Spojrzała na mnie po raz pierwszy dziwnie i tak zawile, że mało brakowało, abym wpadł w poploch. — Jasiu, ty sobie zdajesz sprawę z przeróżnych trudności?

— No, spróbujemy je przezwyciężyć. Coś cię zniechęca, powstrzymuje?

Milczała. Nadal patrzyła na mnie tak dziwnie. Obco?

— Są rzeczy, układy, o których ja nie wiem? Powiedz coś wreszcie, Emeo. Podeszła do stołu, zabrała szklanke

i butelkę po wodzie mineralnej. Postąpiła tak chwilę. Potem zniknęła w kuchni.

Również wstałem od stołu. Cicho podszedłem do okna. Troszkę rozchyliłem stopy i spoglądałem w głąb podwórka-studni. Dwoje dzieci — może sześciolatek chłopiec i nieco odeń młodszą dziewczynka — biegało niezdarnie, bardzo niezdarnie, w poplamionych obszarpanych ubrankach. Bez ładów wymachiwały rękami, które zdawały się być z waty. Nie opodal stojący mężczyzna przerwał rozmowę z kobietą w średnim wieku, starannie i gładko uczesaną w polyskujący kok, i nieoczekiwanie ją wrzeszczał na rachityczne dzieci. Dzieci uciekały koślawo i potykały się co rusz. Mężczyzna rzucił się w pogoń — chromał ogromnie. Kobieta ze szczerym śmiechem obserwowała zajście; torbę pełną zakupów rzuciła na bruk. Rozpuściła włosy... — Jasiu! — usłyszałem Emeę. Jak złośliwie odskoczyłem od okna.

Patrzyła na mnie z wyrzutem: — Nieostrożny! Po co oglądasz rzeczy, które są wstrętne?

— Czy tylko dlatego — wskazałem na okna — dniami i nocami muszą być zasłonięte na amen?

— Uwierz, nie tylko. — Oparła głowę na moim ramieniu. Wtedy ją przytulilem i nie stora, lecz pocałunek oddzielił nas od tego, co uciskało zewsząd, gwałtownie, nachalnie... ironicznie?

— Zostaw — szepnęła — nie teraz... Podniecasz mnie, sam się podniecasz; niepotrzebnie — zaraz musimy iść. Gdybym nie wierzyła w możliwość ucieczki, to myślisz, że dałabym ci wychodzić z łóżka? Trzy dni byłyby moje i twoje. Z tobą mi jest cudownie; bez granic, wiesz, bez rozsądku. — Wyrwała się z moich objęć i znów dokądś wybiegła.

Korciło mnie, żeby znów powyglądać przez szparę.

— No, teraz ty! — Przybiegła zaróżowiona.

— Co?

— Byłam już w ustępie. Czytałam gdzieś w jakiejś książce, że mężczyzna w towarzystwie nowo poznanej kobiety czeka aż ona zrobi to pierwsza... — I roześmiała się naprawdę uroczowo.

— Szelmiaćko z ciebie, ty piękna jedna...

Na dole — znów w całkowitej ciemności — szukałem drzwi do ustępu. Wreszcie natrafiłem na klamkę; wszedłem bardzo pewnie. W małym pomieszczeniu, straszliwie zadymionym, pełnym gratów, a przecież jakoś tam czystym, dostrzegłem półleżącego człowieka, ubranego szaro. Miał małą głowę z pomarszczoną twarzą oraz siwozielone, równo przy wardze przycięte włosy. Cały ten obraz mnie zaskoczył i trudno mi było powiedzieć słowo.

Człowiek zza blatu wyciągnął ku mnie rękę, do łokcia okutaną w bandaż. — Bluu... bluu... mamrotał wskazując na rękę drugą, również w opatrunkach. Spoczywała ona na stole obok kończącej się półlitrowki gorzalki. — Blead, ble-ed..ed! Nic... niczego-ggo si nie bać, nie-e prze-e-ejmować si...eo... — Coś z tego potoku udalo mi się wylapać. Popatrzyłem znając, z małą melancholią, przetrzucił wzrok na butelkę: — Pro-o-oszę ni od-mawiać, bu...bloo... lo-kazji nie będzie... — Chwyciłem tedy butelkę, a on się próbował uśmiechnąć. Jednak mu głowa opadła na stół, jakże ciężka. Wycofałem się z owej kajuty. Potykając się o porożrzucane, bardzo drobne przedmioty, drzwi do ustępu znalazłem naprzeciw.

— Chyba jest jakiś człowiek w takim małym pokoju — oznajmiłem wróciwszy na górę. — Sam nie wiem, czy go widziałem, czy to tylko mara.

— Znowu tam zabłądziłeś. Dzieciaczku, chyba ci będę musiała dawać laktarkę.

— To wiesz, że tam ktoś jest? — Bylem zatroskana.

— Oczywiście. To lokator Wnyk. Mieszka tam od niepamiętnych czasów. Przypomniłem go jeszcze stryj Arnold. Wnyk jest bardzo spokojny, mimo że nigdy nie widziałam go trzeźwego. Do niedawna naprawiał buty.

— Ma ręce w bandażach.

— Dopiero przedwczoraj wrócił ze szpitala. Potwornie się poparzył, bo potrafił taki żelazny piecyk na węgiel; piecyk był rozżarzony do czerwoności, a Wnyk po pijanemu zlapał ten piecyk, żeby się nie zajęła podłoga. Uratowali mu tylko cztery palce u rąk. To było okropne; czułam swąd w domu, posprawdziłam — nie. Dopiero na końcu przypomniałam sobie o Wnyku. W jego pokoju było aż biało od ognia; rozumiesz: jak wejdziesz się z czarnej sieni — biało. Leżał nieprzytomny i ogień już się do niego dobierał; tak palił po nogawce. Był ciężki, za nogi go wywlokłam do sieni. Szczęściem zjawił się Stały Agent; mogłam lecieć po pogotowie, a on — trzeba mu to oddać — znalazł pośród rupieci szlauch i sam ugasił pożar.

— Jaki biedny ten Wnyk.

— Jest cichy jak ściana. Nie wiem, kiedy przemyka po wódkę. U nas na górze nie bywał nawet za życia stryja Arnolda. Emeryt, kłania się grzecznie. — To niech sobie dalej tak żyje. — A co Jasiu, myślisz, że mogłabym coś dla niego zrobić, żeby się poczuł szczęśliwszy?

— Chyba nie. Chyba każdą próbę podania ręki brałby za chęć wtargnięcia w jego własny, ciasny, zamknięty świat. Tutaj ma więcej przestrzeni dla siebie, nawet w zaduchu, niżby miał

w schludnym domu starców. Zawsze był sam?

— Miał żonę. Umarła, jak byłem mała. Rześka, chuda kobieta. Przychochodząc do niej, kiedy smażyła grzybki — zawsze mówiła; grzybki; nigdy: grzyby — suknie i bluzki wisiły na niej jak na wieszaku i nieraz mi się zdawało, że to wieszak się krząta. Nie zapomnę smaku rydzów i kurek. Potem widziałam, jak chyliłem wyznaczono jej trumnę. A Wnyk żyje tu sobie naprawdę jako robaczek; nie wyrządza nikomu krzywdy.

— To niech sobie dalej tak żyje — powtórzyłem niedbale. Już z torbą na ramieniu, byłem gotowy do wyjścia i wszystko inne przestało mnie w tej chwili obchodzić. Emea kończyła rozczesywać włosy; stała jak tyłem do lustra. Spytala szycielko: — Czy chciałabyś być ze mną już zawsze?

— Nie ufam słowu „zawsze”. Wiem tyle, że teraz jesteś we wszystkich moich myślach.

— Wierzę ci, Jasiu. I chciałabym ci wierzyć zawsze.

— Znowu to „zawsze”. Ja cię Kocham, rozumiesz?

— I ja cię Kocham. Ale właśnie dlatego tak się niepokoję. Ja chcę mieć przynajmniej kruszynę pewności. Wiem teraz jedno: jesteś szczerzy. Oby jak najdłużej. — Staliśmy na środku pokoju jak jedność: mocno, ale też i mięciutko złączeni, najprzyjaźniej zamknięci w ramionach. — Mogłeś przecież potwierdzić: „tak”, „zawsze”, aby mnie uspokoić. Ty tego nie zrobiłeś, więc chyba unikniemy mąk pozornego spokoju.

Rozległ się głośnie, lecz tępo brzmiący dźwięk gongu. Powtórzył się kilkakrotnie — w różnych odstępach czasu. Miał, widać, potężną siłę głosu, bo wcześniej — przez ledwo słyszalnego pisku katowanego kota, który na podwórku musiał rozdzierać się rozpaczliwie — nie doszły z zewnątrz żadne odgłosy.

— Jasiu, wiesz co to?

— Pora obiadowa?

— Brawo!

— No to chodźmy.

— Jeszcze poczekajmy. Przez najbliższe minuty będą śpieszyć do domów ci, których gong zaskoczył na ulicach. Teraz wpakowalibyśmy się w nie lada tłum... — Spojrzała łagodnie, z drobną nadzieją. — Wierzę ci, Jasiu, że będziesz, robił, co tylko się da.

— A wcześniej wątpilaś?

— Niee. Tylko...

— Tylko co, Emeo?

— Tylko tak się złożyło, że jesteś pierwszym przybyszem, który zrozumiał, że trudno mi tu wytrzymać. Nikomu się przecież nie zwierzałam pierwsza. Wyjeżdżali stąd sami, z czystym sumieniem, zadowoleni z gościnności i, bez przesady, pokrzepieni mým towarzystwem.

— Nietrudno zrozumieć, skoro się kocha. To, że chcę cię zabrać, jest również egoistycznym pobudką.

— Uważaj, żebyś się nie nabawił fałszywej skromności. Z tego się trudno wyleczyć. Idziemy?

— Idziemy!

Fragment powieści (1973—1979)

Ryszard Kornacki

*czekanie jest miarą czasu
wpływaniem zdarzeń
odliczaniem serca
krzepieniem niepewności
ruchem nieuchwytnym
tym co przeżywamy
i co przeżyć przyjdzie*

*czekam więc na coś
choć nie wiem na co
mimo iż drzewa
wymieniają liście
jak nasze nadzieje
odklamania prawdy
a młodość ptakiem
odległym szybuje*

*czekam więc na coś
choć nie wiem na co
choć dzieci z gniazda
wyfrunęły w pole
na własnym chlebie
także wiatr jesienny
i nowy zapach
drażny nam sumienia*

Kamena 6

KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI

Rozrachunek po latach

NA dorobek twórcy Henryka Pajaka składa się kilka tomów: poezji, prozy i reportaży literackiego. Autor, przypomnijmy to na wstępie, debiutował w 1965 roku tomem poezji pt. „Zanim powrócę” (Wydawnictwo Lubelskie), później wydał w swoim opracowaniu wspomnieniową opowieść Henryka Cybulskiego „Czerwone noce”, zaopatrzoną przedmową Zbigniewa Żaluskiego (Wyd. MON 1966, 1969, 1975), następnie — powieści pt. „Los” (Wyd. Lubelskie 1969), „Druga śmierć” (KIW 1971 i Wyd. Lubelskie 1981), „Pęknięty świat” (KIW 1972) oraz „Posłuchaj, Moniko” (Wyd. Lubelskie 1977 i 1979). Jest on także autorem zbioru reportaży literac-

kich pt. „Zerwanie” (Wyd. Lubelskie 1976).

Wznowiona powieść pt. „Druga śmierć” jest utworem równo współczesnym, jak i już historycznym, wprowadzie akcja jej dzieje się współcześnie, lecz główny nurt toczy się szerokim strumieniem retrospekcji i introspekcji, dotyczy jakby rachunku sumienia głównego bohatera Fryderyka Bilskiego, który tuż po zakończeniu wojny zaplątał się niezbyt świadomie w kręte ścieżki podziemia i obecnie dręczą go wyrzuty sumienia, pragnie poznać prawdę. Po kilkunastu latach spędzonych na emigracji w Anglii chce powrócić do rodzinnej, lubelskiej wsi, aby tu raz jeszcze osądzić swoje mi-

nione życie, porozmawiać z ludźmi i poznać ich oceny, odświeżyć znajomość realiów i przejść swoiste katharsis. Pragnie móc spojrzeć ludziom prosto w oczy, dokonać samooceny i znaleźć zrozumienie wśród najbliższych.

Sam zamysł takiego tworzenia literackiego nie jest, moim zdaniem, ani oryginalny, ani nowy. Lecz o wysokiej artystycznej wartości powieści Pajaka zadecydowała umiejętność jego zrealizowania, a więc przede wszystkim — pogłębione wejrzenie we wnętrza głównego bohatera, duża wiarygodność opisywanych wydarzeń, a także — niebanalność konstrukcji i zastosowanych środków literackiej ekspresji. W sposób psychologicznie uzasadniony autor odsłania — w toku sprawnego narracji, nie pozbawionej liryzmu, głębokiej autorefleksji bohatera oraz za pomocą oszczędnych, funkcjonalnych dialogów i lapidarnych opisów — wnętrza Fryderyka Bilskiego, ukazuje jego rozterki i wątpliwości, rozjaśniania mglistych wydarzeń sprzed laty, wreszcie — jego nieodpartą, wewnętrzną potrzebę zrozumienia swego postępowania w owym historycznym już czasie wojny domowej 45 roku. Pragnie on także znaleźć motywacje i przyczyny, które go kiedyś zaprowadziły do leśnej bandy, walczącej nie tylko z młodą władzą ludową, lecz również siejącej spustoszenia wśród ludności, zamieszkującej lubelskie wsie.

PERPETUUM MOBILE

Na drogach moich spacerów długie karawany
kupy z miasteczek ciągną cudowne obrazy
śladami pięt pielgrzymich wychodzą za bramy
i w modlitwę układam cyfry ilorazy

Pracować muszę ciężko od rana do nocy
a potem wypatruję wystraszone oczy
żrenice miałem szeroko otwarte
widziałem diabła nad ranem o czwartej

Trudno marzycielom w tym praktycznym wieku
gdy na każdej ulicy zręczny kabalista
gdy kabalista w każdym ukryty człowieku
co z gotowych formułek najchętniej korzysta

Z ksiąg wydobyć tajemnicę cudownej maszyny
zapagnąłem i ją to pośrodku rynku
ustawić dla użytku wynędzniałej gminy
jak instytucję wyszynku

Wszystko co jest w obrocie albo w stanie ruchu
nie dąży by się w miękkiem wylegiwać puchu
jeno pracy poświęca swój zapal dla trudu
należy wykorzystać tę skłonność dla ludu

Gdyby się do tego wzięli wszyscy kabaliści
wnet by się nasz wiek ośmnasty w machin erę ziścił
wiele by człowiek wtedy zaoszczędził pudów
dźwiganego przez życie światowego trudu

Skoro wrona umie potrafi i człowiek
wzbic się ciałem lekko jak z kwiatu motyle
wystarczy się dopatrzeć rozumu w swej głowie
na tyle by wynaleźć perpetuum mobile



Rys. E. Ingot

— A teraz ponownie szukam uzasadnienia, usprawiedliwienia. Nie czynów, które usprawiedliwić się nie dadzą, lecz błędów, które przecież muszą mieć okoliczności łagodzące — snuje refleksje Fryderyk Bilski. — I przyznam się, że znów [...] nie jestem pewien, czy dobrze robię, czy w ogóle powinienem się tu pojawić, czy moja obecność nie jest rezultatem jednego z licznych bolesnych pogłosów młodości, z jednoczesnym chowaniem głowy w piasek faktów. Bo czuję, jak zamiast błędów i oczekiwanej pokory zaczynam szukać konkretnych ludzi i jak tych ludzi usiłuję szukać niezym mściciel z tandetnego filmu...

Trzeba sprawiedliwie przyznać, że jest w tej powieści zawarty rzeczywiste „tandetne”, lecz wartościowe, autorskie, ot choćby w stylu Tadeusza Konwickiego. W tym scenariuszu, podobnie jak w powieści, nakładają się trzy główne wątki: życie głównego bohatera ukazane w głębokiej introspekcji i w wymiarze jego współczesnych i w wymiarze życia małej wsi i jej współczesnych mieszkańców oraz sensacyjny wręcz tok wydarzeń, w dynamicznej narracji rozwijający fabułę i tworzący epilog.

Przy tym Henryk Pajak świetnie operuje zarówno językiem potocznym, którym mówią mieszkańcy Osin, jak i

literacką polszczyzną, używaną do mowy pozornie zależnej”.

Już pierwsza scena z powieści budzi zaufanie do autentyzmu. Jest to świetna, obrazowa i jakże naturalna scena, wyraża zdumienie kobiet, które — podobnie jak wszyscy mieszkańcy Osin — uwierzyły kiedyś, że Bilskiego rozzerwała po wojnie mina na Nauczyciela Łące i strzepy jego trudno rozpoznawalnego ciała już dawno pogrzebano. To była więc ta pierwsza śmierć człowieka. Dla jednych bliskiego, jako krewnego, dla innych — zniechęconego, współodpowiedzialnego za śmierć ich ojców, braci, synów.

Naturalne, że po wiadomości, iż on jednak żyje, a nawet zamierza odwiedzić swoją wieś, wzburzenie i emocje ogarnęły całą społeczność. Gospodarze schodzą się u szwagra Bilskiego, radzą niczym starożytny areopag mędrców, jak przyjąć tego niespodziewanego gościa. Autor kreśli tu świetne sceny rozmów tych ludzi, doświadczonych wiekiem, a przy tym godnych i pełnych poczucia odpowiedzialności wobec własnych sumień.

Przydały się chyba Pajakowi jego doświadczenia reporterskie, gdyż akcja tej powieści jest mocno osadzona we współczesnych realiach, choć przecież są one literacko przetworzone i dobrze wykorzystane, aby stworzyć epicką scenerię dla rozgrywających się dalszych wydarzeń. Bo Bilski rzeczywiście

Sen był za piękny, aby spać mógł dalej,
porządek świata został przywrócony,
przedziwnie wiele wdzięku w owym szale
logika spłotła mi w słodkie androny.

Na jawie zegar bil godzinę entą,
dosłownie tłukł ją swym twardym kopytem,
wpierw u sąsiada zagrzmiały kuranty,
spóźniony parter jak pies zaskowytał.

Cóż tedy śnilem? Miazgę wielokształtną?
Twarze niezmiennie jakoby z portretów?
Młodości drogę krętą i bezładną?

Trudno już dociec mi tego sekretu,
z którego plomba ołowiana zwisa.
Sen był za piękny, bym mógł go opisać.

ORKIESTRA PODWÓRZOWA

Grubego widziałem w knajpie. Opowiadał mi kawały.
Teraz jego smutek gra na harmonii taką wielką rolę.
Pan Zygmunt nad finansami ma sokolą wręcz kontrolę
i spogląda bacznie w blokowiska pejzaż skamieniały.

Trębacz widzi tylko w jednym oknie wybrudzone firanki,
syn jego wyskoczył kiedyś z piątego piętra na beton,
więc trunkowy staruszek na nowo stanął z życiem w szranki
i różnie różne takie sztajerki sentymentalnym kobietom.

Dobrzy panowie, zlitujcie się laskawie nad nami,
takie orkiestry powinny stać pod wszystkimi naszymi oknami.
W niedzielę nikt z nas nie lubi zepsutego kranu,
więc po co się uśmiechasz do lustra jak amant
i twierdzisz smutnym głosem, że wszystko do chrzanów:
Głupota to jedyny w naszym życiu dramat.

CYTAT Z KATALOGU

...Jest uśmiech z wesołymi oczami,
i smutek nie do naprawienia,
drzewo kroczące swymi korzeniami,
serce bez aorty, numer bez imienia.

mglisty poranek i wieczór w zgliszczach,
pomiot partacza i dzieło mistrza,
zło i dobro, krzywa i prosta,
miss universum i dziewczka w krostach,

znaki na niebie i na papierze,
stare odciski i sztance świeże,
słowa, litery, kółka, krzyżyki,
kropki, przecinki i wykrzykniki,
Bóg, człowiek, zwierzę, hybryda, heros,
x, y, z, 3, 2, 1, zero...

przyjeżdża, pełen jednak lęku i nieufności, choć odpowiedzieli mu przecież, że może wrócić. ...Ale większą społeczność rozdzierają antagonizmy, bo jedni mogą mu wybaczyć, inni noszą w sobie do dziś zapiekłą nienawiść. Mówią szczerze, to szkoda, że autor porzucił tak ciekawie zarysowany wątek, w dalszym ciągu powieści koncentrując swoją uwagę przede wszystkim na głównym bohaterze, który popychany jakimś mocnym wewnętrznym imperatywem moralnym, szuka śladów swego pobytu w lasach, próbuje zrozumieć sens przyjazdu. Obserwując życie mieszkańców wsi, myśli: „Co musiałbym zrobić [...], żeby stać się jednym z nich? Żeby wrosnąć, wtopić się w Osiny i znaleźć w nich własny sens? I mieć pewność, że naprawdę zapomniał o mojej przeszłości?”

Ale poszukiwanie tropów własnej odległej działalności w podziemiu, poszukiwanie ludzi z kierownictwa dawnej bandy, odpowiedzialnych i za jego los — to zadanie dziś już niezwykle trudne. A jednak nie wszystkim jest objęta przeszłość Bilskiego. Młody, wykształcony krewniak naprowadza go na właściwy trop. Bilski odnajduje człowieka, który kiedyś był jego szefem. Dochodzi do dramatycznej konfrontacji. To finał powieści. Bilski wyjmuje pistolet... Lecz — nie, nie chce zastrzelić „Przekory”, pragnie jedynie wstrząsnąć jego sumieniem i dowiedzieć się praw-

dy. A potem wyjechać z powrotem do Anglii. Lecz przypadek decyduje za nich obu: Bilski odchodzi, lecz nagłe wraca po zapomnianą fajkę, tamten rozumie to inaczej, strzela z myśliwskiej fuzji. Bilski osuwając się na ziemię, oddaje kilka strzałów z pistoletu. Obaj giną.

Ot i epilog całej sprawy. Jednoznaczny i wierny konwencji realistycznej, bliski jednak, zbyt bliski zakończeniu wielu powieści sensacyjno-kryminalnych. Przyznam, że zaskoczył mnie ten finał. Dosłowność werystyczna, z którą autor jakby mocował się w całym utworze, tu zabrzmiała zbyt mocnym akordem, zbyt wyraziście i ze zgrzytem. Czyż bowiem koniecznie „druga śmierć” Fryderyka Bilskiego musiała być tym razem dosłowna? Czy rozwiązanie tej fabuły nie mogło, dla większej satysfakcji artystycznej, mieć innego, symbolicznego bądź metaforycznego znaczenia?

Pomimo tych wątpliwości dobrze się stało, że ta ciekawa powieść Pajaka doczekała się swojego wznowienia.

Zenon Łukaszewicz

Henryk Pajak: Druga śmierć. Wyd. Lubelskie, Lublin 1981. Wyd. II str. 159, cena zł. 12

Kamera 7

NIEDOJRZAŁY OWOC MIŁOŚCI DO ŚIEROTEK

Zbigniew Miazga

WIOSNA 1977 roku odbyła się w Bilgoraju tłumna, nie pozbawiona rzewno-sentymentalnych momentów, uroczystość. Głównym punktem jej programu było wmurowanie aktu erekcyjnego w fundament pierwszego budynku Wioski Dziecięcej, mającej stanąć na tym terenie. Owego dnia w radiu i telewizji, a nazajutrz w gazetach, ogłaszano cel przedsięwzięcia: „zapewnić ponad 100 sierotom — naturalnym lub społecznym — warunki opieki i wychowania zbliżone do panujących w naturalnej rodzinie wielodzietnej”.

Ekspozowane plany sugestywnie obrazowały wioskę. W Bilgoraju zbudować zamierzano 15 kolorowych domków jednorodzinnych, a w każdym z nich: pięć pokoi dziecięcych, pokój dla matki, pokój „dzienny”, kuchnię, jadalnię, łazienkę, pralnię, magazyn na żywność, pomieszczenia gospodarskie. Przy każdym domku przewidziano ogródek kwiatowy i warzywny. Obiektami wspólnymi dla całej wioski miały być: pawilon kulturalno-społeczny (z salami zajęć pozaszkolnych, gabinetami lekarskimi, pralnią, sklepem spożywczym etc.), boisko sportowe, place zabaw.

Obyczajem tamtych lat szybko powołano Towarzystwo Przyjaciół Wioski Dziecięcej w Bilgoraju. Znaleźli się w nim ludzie do roboty i honorowi protektorzy, których nazwiska miały wzmacniać ogólną przychylność wobec przedsięwzięcia ówczesny I sekretarz KW PZPR w Zamościu, Ludwik Maźnicki (przewodniczący Towarzystwa) i Stanisława Gierkowa (honorowa przewodnicząca).

I tak oto urzeczywistniać zaczęła się idea, zrodzona — tu historyczna dygresja — na początku lat siedemdziesiątych wśród krańskich pedagogów i wychowawców, skonkretyzowana w 1974 r. przez lubelskie (było to jeszcze przed reformą w administracji państwowej) Kuratorium Oświaty i Wychowania, które zlokalizowało inwestycję w Bilgoraju, ponieważ w tym rejonie nie było dotąd ani jednego domu dziecka. Finansowy ciężar budowy ponieść miało Międzynarodowe Stowarzyszenie Wiosek Dziecięcych (SOS Kinderdorf International) z siedzibą w Wiedniu, które przeznaczyło na ów cel milion dolarów.

Do wiosny 1980 r. Bilgorajskie Przedsiębiorstwo Budowlane dotrzymywało zobowiązań zawartych w harmonogramie robót. Realnym wydawał się zaplanowany termin oddania wioski dzieciom i ich opiekunom: 1 lipca 1981 r. Ogólnopolskiego zasięgu nabrała rekrutacja rodziców, przyszłych lokatorów 15 bilgorajskich domków, szeroko propagowana przez prasę, radio i telewizję. Spośród ponad 200 ofert wybrano 28. Wkrótce zamierzano przystąpić do ostatniego etapu kwalifikowania kadry — do wywiadu środowiskowego, prowadzonego w miejscu zamieszkania tych ludzi. Do tego jednak nie doszło. I nie dojdzie...

Na rozległym placu uroczystości wmurowania aktu erekcyjnego stoi dziś, po pięciu latach budowy, jeden gotowy domek. Tymczasowo urządzone w nim dyrektor wioski, w kilku pomieszczeniach przechowywane są dary dla nieznanym jeszcze dzieci, nadesłane w wyniku różnych apelów z różnych stron Polski. 12 budynków znajduje się w stanie surowym, dwa ostatnie mają „już” partery. Fazę budowy pawilonu administracyjno-społecznego określają budowlani terminem: stan zamknięty. W dwóch trzecich gotowy jest kanał ciepłowniczy. I to, z grubszą, tyle w tym księżycowym krajobrazie.

Marian Larwiński, kierownik budowy Wioski Dziecięcej, informuje:

— Na wiosnę osiemdziesiątego roku część ludzi zabrano stąd do Zamościa, część do Katowic. Na miejscu pozostało pięć osób. Robota musiała stanąć.

— Ile to jeszcze czasu upłynie do zakończenia budowy, prowadzonej w tak ślimaczym tempie?!

Dyrektor Wioski Dziecięcej, Józef Cap, oraz kierownik budowy kwitują tę niecierpliwość opiniesięcią o biurokratycznych, planistycznych i Bóg wie jakich jeszcze perypetiach i kłopotach. Potwierdza się, że gdy wioska przestała służyć podreperowaniu samopoczucia ważnych i bardzo ważnych osób przypadła jej rola niechcianego dziecka. Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa skorzystała z okazji, by pozbyć się tytułu inwestora. Praktycznie 1 stycznia bieżącego roku, a więc po wielu

miesiącach, obowiązki te przyjął Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Zamościu.

Na tym placu, konkretniej — w kotłowni budynku administracyjno-społecznej obciążenie może efekt zbiorowej indolencji wielu osób: począwszy od tych z ministerstwa i centralnych instytucji, na projektantach i urzędnikach zamojskich i bilgorajskich skończywszy. Zbiorowej — gdyż w gęstwinie nazwisk oraz nazw instytucji trudno (przynajmniej dziennikarzowi) ustalić, za czym to sprawą woda włoskowej sieci sanitarnej nie płynie na przykład do kolektora, a wprost do kotłowni. Na tę okazję ukuto zgrabne powiedzonko: w lecie sadzawka, w zimie ślizgawka. W tej sytuacji nie można uruchomić kotłowni, a w konsekwencji — do cieplejszych dni czekać trzeba z robotami wykończeniowymi.

— Kiedy wioska oddana zostanie lokatorom? — pytam Mariana Larwińskiego.

— Przed nami jeszcze bardzo pracochłonne roboty wykończeniowe. Sporo czasu zajmie wykonanie wystroju zewnętrznego domków. Każdy z nich przyozdobiony zostanie, wykonaną przez plastyka, efektywną mozaiką. Pozostaje również mała architektura, boiska. Jeżeli nie napotkamy na większe przeszkody, wioska może być oddana w połowie 1983 roku. Zależy nam na utrzymaniu tego terminu — mówi kierownik.

A ja mu wierzę. Bowiem w całej tej pięcioletniej historii chyba jedynie Bilgorajskiemu Przedsiębiorstwu Budowlanemu zależało na solidnym i możliwie szybkim sfinalizowaniu inwestycji. I to z powodów pozamaterialnych, żeby nie rzec — altruistycznych. Może trudno dać wiarę, ale fakty świadczą.

Na przyszłości bilgorajskiej wioski zaważy — już zaważyła — wizyta w Polsce Sekretarza Generalnego SOS Kinderdorf International. Interesował się on postępiami na placu budowy, a także rekrutacją opiekunów sierot. I gdy doszło do kontrktów, wybuchła burza. Okazało się, że Ministerstwo Oświaty i Wychowania odstąpiło samowolnie od tego punktu regulaminu Międzynarodowego Stowarzyszenia Wiosek Dziecięcych, w którym mowa jest, że tylko samotnej kobiecie (może to być matka z własnym dzieckiem, czy dziećmi), a nie małżeństwu, powierza się prowadzenie wioskowego domu dziecka.

W polskiej praktyce wychowawczej stosowany jest model odpowiadający rodzinie naturalnej, czego przykładem są nasze rodzinne domy dziecka. Opierając się na doświadczeniach wiosek alpejskich, Austriak twierdził natomiast, że w przypadku zatrudnienia rodzin następuje znacznie większa rotacja kadry, aniżeli przy zaangażowaniu samotnych kobiet.

Ostatecznie argumenty te (oraz wyasygnowany milion dolarów) spowodowały, że w Bilgoraju nie zatrudni się nawet tych rodzin, które zgłosiło już wybrać z wielu chętnych do tej trudnej i delikatnej roli. Od jesieni ubiegłego roku prowadzona jest rekrutacja według wzoru stowarzyszenia; kilkadziesiąt kobiet (matek) zgłosiło już swoją ofertę. Dodajmy dla zainteresowanych, że nabór prowadzi ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy TPD; jego adres: 22-400 Zamość, ul. Staszica 6.

Budka Suflera znowu na szczycie

Istvan Grabowski

ANI obejrzelismy się, jak Budka Suflera stuknęło osiem lat. Nadzieje lubelskich fanów związane z tą grupą znalazły pełne uzasadnienie, choć nikt zapewne nie przewidział tak wielu zmian repertuarowych i personalnych (odeszło ośmiu muzyków). Z pierwszego składu Budki, spędzającej w 1974 roku większość czasu w lubelskim studiu radiowym, pozostał jedynie lider, niedługo basista, a obecnie pianista — Romuald Lipko. On jednak jest animatorem wszystkich osiągnięć i sukcesów ansamblu. Obiektywnie trzeba przyznać, iż dorobek artystyczny Budki jest poważny — pięć longplayów (w tym dwa złote), udane nagrania z Anną Jantar, Ireną Jarocką i Izabelą Trojanowską, rozliczne koncerty w kilku krajach Europy i miano czolowej grupy rockowej w Polsce. W momencie debiutu radiowego świetnej piosenki „Sen o dolinie” mało kto przypuszczał, że ambitny, choć mało doświadczony zespół zmieni dotychczasowe, nienajlepsze wyobrażenie o kulturze muzycznej i tradycji naszego miasta. Wysoka pozycja Budki jest przede wszystkim rezultatem ogromnej pracy, jaką włożyli muzycy i realizatorzy nagrań w szlifowanie warsztatu i brzmienia zespołu. Przed ośmiu laty stosunkowo niewielkie umiejętności pokrywali zapalem i

spontanicznością wykonania. Dziś są to profesjonalności, doskonale znający swój fach. Zaczynali z gorącym zamiarem przyswojenia rodzimej scenie dynamicznego rocka, znanego z dokonania Erica Claptona, Free, Bad Company. Później fascynowały ich symfoniczne eksperymenty Manfreda Manna i jego Earth Bandu. Wciąż były to jednak inspiracje, a nie gotowe wzorce do powielenia. Od początku bowiem muzyczne próby Romualda Lipki i towarzyszących mu kolegów miały specyficzny charakter. Objawiał się on zarówno niebanalnymi rozwiązaniami aranżacyjno-brzmieniowymi, jak i ciekawymi tekstami piosenek, zrywającymi z mocno wyeksploatowanym w naszej rozrywce tematem miłości. Pierwsze nagrania Budki — „Sen o dolinie”, „Zdarzenie”, „Biały demon”, „Memu miastu na do widzenia”, „Lubię ten stary obraz” — kipiły ognistymi riffami gitar, wprost elektryzowały młodą publiczność. Dziś o renomie grupy decyduje oryginalność faktury brzmieniowej, trafiająca do słuchacza melodyka i pomysłowa, a wiele bogatsza niż przed laty instrumentacja utworów. Doświadczenie estradowe procentuje misterną, choć klarowną konstrukcją, ciekawą rytmiką i finezją wykonania, na jaką stać prawdziwe gwiazdy piosenki. Wysoki poziom zespołu potwierdza reakcja publiczności na koncertach. Młódzież słucha utworów Budki z zachwytem, porównując je z osiągnięciami klasyków rocka, co bynajmniej nie wpędza muzyków w kompleksy. Grają żywo, dynamicznie, z dużą por-

cją ekspresji, co satysfakcjonuje i bawi nastoletnie audytorium.

Ostatni sezon jest dla lubelskiej grupy nadzwyczaj udany. Złożyły się nań wojaże zagraniczne do ZSRR i dwukrotnie do Holandii oraz bardzo dobra sesja nagraniowa piątej płyty „Za ostatni grosz”. Osiem przebojowych kompozycji zrealizował w ubiegłym roku fachman od nagrań rockowych Andrzej Poniatowski, przy współudziale Włodzimierza Kowalczyka. Słuchając ich trudno ukryć podziw dla komunikatywności, perfekcji i elegancji brzmienia, stanowiącego kwintesencję polskiego rocka. Takiego bogactwa kolorystycznego nie znajdziemy na płytach konkurencji — Maanam, Perfectu, czy Turbo. Sukces nowego albumu, odnotowany obecnością na krajowych listach przebojów, nie rozleniwia członków zespołu. Od pewnego czasu sposobią się oni do nagrania dysku z tekstami angielskimi. Z ostatniego pobytu w Kraju Tulipanów Budka przywiozła konkretną ofertę wydania longplaya na Zachodzie i zamiar ten niebawem zrealizuje.

Z dziennikarskiego obowiązku odnotowuję aktualny, szósty w historii skład instrumentalistów: Romuald Lipko — instrumenty klawiszowe, kompozycje, kierownik muzyczny; Tomasz Zeliszewski — perkusja; Romuald Czysta — śpiew; Zdzisław Janiak — gitara; Mieczysław Jurecki — gitara basowa. Warto dodać, że wszystkie dotychczasowe nagrania Budki Suflera, a było ich w ciągu ośmiu lat niemal, zostały zarejestrowane w Lublinie.

Karol Badziak Myśli o dziennikarzach

Najgorsza propaganda jest ta, która obraża nasze władze... umysłowo.

W cudze szaty stroją się ci dziennikarze, którzy sami pragną być bohaterami własnych publikacji.

I gazetę można zasłonić światem.

Uwaga! Dzisiejszy czytelnik już nie zwraca uwagi na błędy czeskie.

Artykuły publicystyczne żyją w cieniu reportażu. Reportaże żyją w cieniu felietonu. Felietony żyją w cieniu złotych myśli. Tylko złote myśli nie żyją w żadnym cieniu.

Nie można wymyślić nic gorszego niż dwóch identycznych dziennikarzy w jednym piśmie. Czytelników tacy zanużą, a siebie zagrązą.

Jeśli zgodzimy się na to, że nasi informatorzy będą decydować o tym, co mamy pisać, to nieuchronnie doprowadzimy do tego, że będą nam mówić o wszystkim, a każdą pisać o niczym.

MOGLA być jego córką. Młoda, najwyższej dwudziestosiemnastoletnia. Zgrabna, z puszystymi blond włosami. Ubrana modnie, w efektowną suknię z dekoltem. Nastawiła magnetofon i pokój wypełnił się muzyką grupy „Eruption”. Marina...

Mógł być jej ojcem. Pięćdziesiątkę przekroczył już kilka lat temu. Wysoki, silnie zbudowany. Nieco już otłudy i o mocno przerzedzonych włosach. Modny garnitur, modny wąski krawat. Chodził nerwowo po pokoju i spoglądał na zegarek. Zapalił papierosa. Usiadł w fotelu. Muzyka przeskazywała mu. Poprosił żonę, aby wyłączyła kasetofon. Pejew...

Podeszła do niego blisko. — Niepotrzebnie się martwisz, przecież to twój dobry znajomy... — powiedziała.

— Tak. Dobry znajomy... — powtórzył. Ona podeszła do stołu. Jeszcze raz spojrzęła na swoje dzieło i uśmiechnęła się. Nie brakowało niczego. Drogie wędliny, kawior, whisky „Ballentine's”.

Zapytała, czy ma nastawić muzykę i co on by chciał. Odpowiedział, że „Bonney M.”. Wtedy zadzwonił telefon. Z milicji. Syn Pejewa narozrabiał i musieli go wziąć na komisariat. Obiecywali, że zaraz dostarczą go do domu. Mówili o nieporozumieniu. Protekcyjnie ich upominali. Odłożył słuchawkę.

— No, nazwisko Pejew coś u nas znaczy — stwierdził.

Polecała muzykę. Ktoś zadzwonił do drzwi. Obrzucili pokój nerwowymi spojrzzeniami. Ona coś jeszcze poprawiała na stole.

— To na pewno on... — Pejew ruszył do przedpokoju.

Ona odgarnęła włosy. Przez dłuższą chwilę nikt nie wchodził. Wreszcie pojawił się on i młoda dziewczyna, Lili.

Była córką Pejewa. Mogła mieć najwyższej dwadzieścia pięć lat. Zgrabna, z upiętymi gładko blond włosami. Ubrana modnie, po sportowemu. Spojrzała szybko na Marinę i równie szybko wyrzuciła z siebie zdawkowe: „Dobry wieczór”.

— To ja pójdę do kuchni nastawić wodę — odpowiadając żona Pejewa.

Ojciec i córka zostali sami. — Zapalisz? — zapytał.

Kiwnęła głową. Podeszł do kredensu i wyjął paczkę „BT”; rozpacztował.

— Myślałam, że dyrektorzy palą lepsze... Uśmiechnął się jakoś niewyraźnie i spojrzął na zegarek.

— Czekasz na kogoś? Może sobie pójdę? — spytała.

Zaprzeczył energicznie. A ona spytała o brata. Skłamał, że jest na korepetycjach. Zapytał o jej matkę, swoją pierwszą żonę. Odpowiedziała, że choruje na serce.

— Powinna brać lekarstwa. Jak trzeba, pomogę... — Dobrze wiesz, że to nie jest kwestia lekarstw. Przez chwilę palili w milczeniu. Stawało się ono jednak dotkliwe dla obojga z nich. Męczące i drażniące.

Wybuchła Lili. Mówiła szybko, z pasją. (Niekiedy wydawało się, że jej monolog oscyluje na granicy płaczu, hysterii). — O tym, że rzucił matkę dla dziewczyny dwa lata starszej od własnej córki. Ze dlatego matka choruje. Pytała, czy pamięta, jak parę lat temu nie przyszedł na Nowy Rok do domu, bo odbywał się akurat rozruch nowego zakładu i on, dyrektor, był ze swoimi ludźmi. Potem wrócił zmęczony z braku snu, z nerwów, napięcia. Ale szczęśliwy, że się udało. A oni, rodzina, byli z niego dumni. Ona, Lili — szczególnie. Pejew milczał.

Weszła Marina. — Dlaczego palicie takie kiepskie papierosy? — zapytała. — Przecież mamy amerykańskie.

Lili wstała. — Pójdę. Już późno... Zaprotęstował. Poprosił, żeby sobie pogadały, a on na chwilę wyjdzie do kuchni.

Przez dłuższy czas milczały. Wreszcie Lili zapytała, czy Marina kocha jej ojca. Nie czekając na odpowiedź, wykrzyczała swoją złość, wściekłość, ból. To ona, Marina, zabrała im męża i ojca. Ona „polecała” na starzejącego się dyrektora eksponowanych zakładów. Ona rozbiła rodzinę. I może się teraz cieszyć...

Wybuch rozładował napięcie. Zaczęła się rozmowa. Lili dowiadywała się, że brat jest nie na lekacjach, a „na milicji”, że ojciec jest taki spięty i zdenerwowany, bo oczekuje przyścia swego przyjaciela z ministerstwa, z Sofii. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, bo — jak wiadomo — znajomości ma wszędzie, ale ów przyjaciel przez tydzień kontrolował jego, Pejewa, zakłady. I teraz ma przyjść z wynikiem swoich badań. Powodów do zmartwień w zasadzie nie ma, bo jest to dobry przyjaciel...

Wszedł Pejew, podслушujący cały czas pod drzwiami. Niemał równocześnie rozległ się dzwonek w przedpokoju. Lili została w pokoju. Głosy... Dobry przyjaciel z Sofii, Iliw, był o głowę niższy od ojca dziewczyny. Ubrany w jasny garnitur, uśmiechnięty, o kędzierzawych, już trochę siwych włosach.

— Lili! Ile to lat już nie widzieliśmy się? — odłożył służbową dyplomatkę. — Chyba z osiem... — Od czasu, jak pomogłeś jej dostać się bocznymi drzwiami na studia — dorzucił Pejew.

Przez dłuższy czas toczyła się rozmowa o niczym. Normalna, szampa. Starzy koledzy wspominają dawne, dobre czasy („Pamiętasz jak obaj kochaliśmy się w nauczycielce od chemii?”. „Tak. Siedzieliśmy nawet w jednej ławce...” itd.).

— „Johny Walker”, czy „Ballentine's”? — zapytała Marina.

— Nie!że żyjesz... — Iliw pokiwał głową.

Mogło to oznaczać wszystko. Wśród figur retorycznych, komplementów, dowcipów rzecz zmierzająca do nieuchronnej kulminacji: do ujawnienia wyników kontroli.

Był jednak moment szczególnie wzruszający, by nie powiedzieć — liryczny. W pokoju zostali Lili

i dobry przyjaciel z Sofii. Ona wypytywała go, czy wszystko w porządku, czy kontrola nie wykazała niczego. On patrzył na nią, był ciekaw, czy pamięta, jak brał ją na kolana. Pytał, co u niej. Odpowiadała, że — tak, że skończyła studia, że ma chłopaka, że może wyjdzie za męża. Tylko, że nie o to jej chodziło. Uspokoiła się kiedy zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze. Ze zna ojca od wielu lat i wie, iż jest to odważny człowiek.

Lili chciała iść do domu, ale poprosił ją, żeby została. Być może szukał w niej sojusznika...

Kiedy już wypili, co mieli wypić, kiedy wypowiedzieli wszystkie komplementy, kiedy wypalili papierosy, Pejew zapytał o wynik kontroli.

— Jest niedobrze. Jest bardzo źle, przyjacielu. — rozpoczął Iliw. — Jutro wracam do Sofii i będę wnioskował o dyscyplinarne zwolnienie dyrektora. O oddanie sprawy do prokuratora. I o... zamknięcie zakładów.

Milczenie nie trwało dłużej niż pięć sekund.

— Jak to? Chwileczkę... Zaraz, zaraz, przyjacielu. Jak ty to sobie wyobrażasz? Zamknąć socjalistyczny zakład przemysłowy? A ludzie? O ludziach myślałeś? — wyrzucił z siebie z szybkością automatu.

Obie kobiety milczały. Lili ukryła twarz w dłoniach. Marina zaciagała się nerwowo dobrym papierosem.

Iliw wyjaśniał. Zakłady Pejewa od dawna produkują urządzenia, których nikt nie chce kupować. Buble. Od pięciu lat w jednym z zakładów stoją drogocenne maszyny kupione za dziesiątki tysięcy dolarów, których nikt nawet nie rozpakował. Poza może kilkoma, które...

— ...ulepszone. — wtrącił Pejew. — Nie wprowadziliśmy ich, bo nasi racjonalizatorzy je ulepszyli. Są protokoły, są wnioski racjonalizatorskie. Można sprawdzić...

— A kto je ulepszył?

— No jak to? Szef komórki racjonalizacji niż. Gunczo i majster Stanczo...

— Owszem. Ulepszyli tak, że żadna z nich nie nadaje się już do użytku. Przecież to partaczę, bez żadnego przygotowania. Po prostu niszczyli, biorąc za to nagrody, premie. A ty to tolerowałeś, przyjacielu...

On ma rację. Mówiłam ci o tym wcześniej... — wtrąciła żona. Pracowała w tej samej fabryce, jako inżynier.

— Cicho bądź. To jest męska rozmowa...

— Ponadto fałszowałeś sprawozdania, przyjacielu. Plany zawsze miały być przekroczone. Dostałeś nawet sztandar we współzawodnictwie. Wysokie nagrody...

Nie dla siebie. Dla ludzi.

Boks trwał jeszcze parę minut. Wreszcie Pejew nie wytrzymał.

— Masz kajdanki? No proszę, wyjmij...

Nieskładnie mówił coś o przeszłości. O walce z wrogiem. O tym, że tam się nie dał... A tu, teraz... Przestał. Zamyślił się. Wiadomo było, że za chwilę stanie się coś ważnego.

— Posłuchaj — powiedział spokojnym już głosem. — Dobrze mnie posłuchaj. Kiedy przed kilku laty obejmowałem zakłady, leżały one w ruinie. Pierwsze trzy lata były ciężkie. Zaczeliśmy jednak wychodzić z tego, ludzie zarabiali. Któregoś roku przyszedłem do komitetu i oświadczyłem, że nie udało się wykonać planu. Powiedzieli, że nie przyjmują tego do wiadomości. Wtedy postanowiliśmy zmienić — na papierze — wynik. Miałem już wtedy dość. Całe życie o coś walczyłem, o coś się szarpałem. Chciałem w końcu pożyć, jak normalny człowiek. Odpocząć...

— I dlatego fałszowałeś plany przez ostatnie trzy lata...

— Tak. Dlatego. Właśnie dlatego...

Pożyć jak normalny człowiek?

Waldemar Piasecki

Wyznanie ojca przerwała Lili, po raz kolejny opowiadając historię sprzed lat. Kiedy miał on jeszcze siły na szarpanie się. Kiedy w Nowy Rok...

Za oknem rozległ się dźwięk syreny. Narastający, przechodzący w kulminację i oddalający się potem. Mogła być to syrena radiowozu milicyjnego lub pogotowia ratunkowego...

Iliw pożegnał się i wyszedł. Po nim wyszła Lili. Zostali sami. Pejew wydawał się starszy, a może tylko bardzo zmęczony.

Stąpali oboje na balkonie. Patrzyli w noc. Przytuliła się do niego.

— Czeką nas długa droga... — powiedziała.

Na ekranie telewizora pojawiły się nazwiska realizatorów.

Sztukę, którą spróbowałem opowiedzieć, obejrzałem w I programie bułgarskiej TV. Nosi tytuł „Buria w ticho wremie”, który nie wymaga tłumaczenia. Jej autorem jest K. Wasiliew, współczesny dramatopisarz bułgarski. Rola dyrektora była aktorskim popisem Wasyla Michailowa. Staralem się wiernie oddać klimat i treść. Nie jest to oczywiście przekaz doskonały.

Bułgarzy twierdzą, że jeszcze do niedawna emisja takiego widowiska byłaby niemożliwa. Pewne pryncypia wydawały się nienaruszalne i nie poddawano ich tak ostrej krytyce. Szczególnie wiele komentarzy wywołało stwierdzenie Iliwa, że jedynym sędzią działalności zakładu jest ... lew (jednostka monetarna). Współbrzmie to doskonałe z koncepcją nowego mechanizmu ekonomicznego wdrażanego w Bułgarii za sprawą prof. Todora Bożynowa (odpowiednika naszego prof. Baki), wicepremiera. Ale nie tylko. Niedawno Todor Ziwwow zakomunikował, że stopniowo będą wprowadzane w Bułgarii konkursy na wszystkie stanowiska kierownicze. Rolą zaś partii pozostanie tylko ocenianie oblicza ideowo-moralnego kandydatów do fotelela.

— Dobry kierowca, widząc samochód w rowie, stara się sam uważnie wchodzić w zakręt i raczej nie dodawać gazu... — powiedział mi sofijski kolega-zurnalista po przeczytaniu tego artykułu. Mimo iż nie jest on aforystą formatu La Rochefoucauld, wydaje mi się, że rozumie o co mu chodziło.

POCZTA LITERACKA

Alek B. Częstochowa. Panie Alku, że też się Panu nie zdruzdzi? Prawie codziennie zaszczycza mnie Pan nowym wierszem. Mam nadzieję, że i na krajowe listy porty będzie wyższe i będzie się Pan musiał liczyć z rachunkiem ekonomicznym. Moja rada, nawet prośba: niech Pan prześle mi swoje utwory raz, no, dwukrotnie w ro-

ku, ale niech wśród wielu wierszy znajdę także coś z poezji.

Pańskie credo poetyckie jest piękne, podzielał je, ale przyswoił je Pan sobie od tych, którzy ładnie o poezji mówią i pisać potrafia, a gorzej ze spełnieniem tych wniosków. Nie oznacza to, iż nie szanuję Pańskich poglądów, sygnalizuję jedynie ich wtórność i miłałość. Ale jeżeli Panu z nimi dobrze, nie umiem się przeciwstawić. Nie radzę jednak dla poezji, nawet tej prawdziwej, ani po raz pierwszy, ani po raz drugi umierać. Dla niej żyć warto!

Władysław S. Lublin. Niech Pan próbuje pisać dalej. „Wydała się...” ma lekkość, jest mniej od „Refleksji” moralizatorskie, zawiera samo-

krytycyzm a na tym można coś w przyszłości zbudować.

Andrzej P. Lublin. Niech Pan od czeka i przyśle więcej utworów, abym mógł się zorientować w ich wartości.

Halina G. Werbkowice. Poezję przysłała przez Panią w obu korespondencjach zainteresowały mnie. Budzą jednak we mnie niemało obaw. Może Pani się ich domyśla, proszę je co prędzej rozwiąć w obszerniejszym liście o sobie i swoim piśmiu. Wielu wyrazów tych utworów nie jestem w stanie ustalić, może więc jednak znajdzie Pani dostęp do maszyny? Proszę też wyrazić swój stosunek do schodków w wierszach a la Majakowski, czy w Pani sposobie wyrażania uczuć są rzeczywiście służbowym narzędziem?

Zbigniew Z. Lublin. Nie manifestowałbym w przyszłości, będąc na Pana miejscu, tak bardzo zawodowej funkcji. Przy złych wierszach to nie pomoże, a przy dobrych jest niepotrzebne, może raczej zaszkodzić. W redakcjach inne miary są w cenie. W wierszach tych zauważyłem krytyczne i reportażowe spojrzenie. Może zwróci Pan swoje zainteresowania w tym właśnie kierunku?

Anna M. Lublin. Jest rzeczywście o czym porozmawiać, proszę w któryś z piątków wstąpić do redakcji.

TJ

kamena 9

GÓRECKI

LATEM ubiegłego roku Stanisław Górecki zapakował do „fiata 126p” konserwy i pojechał do Baden-Baden na koszt własny, zupełnie prywatnie, by zobaczyć, jak prezentują się jego rysunki na międzynarodowym biennale grafiki w tym kurorcie, znanym w świecie także z kasyna, w którym pewien wybitny pisarz pozostawił sporo pieniędzy oraz swoją żonę.

Okazało się, że rysunki Góreckiego dobrze wytrzymały konkurencję, choć zdobył ją nazwiska powszechnie szanowane w międzynarodowej sztuce. Jeśli nie wierzyć, zobaczcie okazały katalog imprezy, dostępny w pracowni grafiki.

Następnie Górecki zabrał to, co uprawiają właściwie wszyscy polscy plastycy, odwiedzając kraje zachodnie: skierowany przez życzliwą mu osobę do Kunst-Atelier Breilmann, jednej z miejscowych galerii, pokazał tam swoje rysunki, przywiezione razem z konserwami. I od tego momentu rozpoczęła się niezwykła przygoda lubelskiego artysty, wykładowcy UMCS, przypominająca cud gospodarczy, a więc

zupełnie odmienna od przeciętnych losów jego kolegów po fachu, którzy na ogół bezowocnie drepczą w przedpokojach takich galerii, albo sprzeniewierając się sobie wykonują pokupne landszafty z chalupami krytymi strzechą plus bocian — oni, krajowi abstrakcjonści czy akcjonisci!

Owszem, przybytek państwa Breilmannów nie należał do instytucji renomowanych, w rodzaju np. Merkur-Galerie, gdzie właśnie wystawił Viktor Vasarely — kiedyś Francuz, a teraz Amerykanin wędziarskiego pochodzenia, którego optical art mocno się już zresztą zdewaluował. Ważniejsze przecież, że rysunki Góreckiego, wyeksponowane obok prac niemieckich i w wernisażowej oprawie dwóch śpiewających Koreanek, zobaczył Berthold Beitz, przewodniczący Fundacji Kruppa, człowiek niezłe usytuowany w świecie przemysłowej RFN, bawiący właśnie w Baden. Zobaczywszy zaś, kupił od autora trzy duże rysunki, ostatecznie wynoszące z galerii cztery — by jeden z nich umieścić w znanym w świetle Folkwang-Museum in Essen. Dopowiedzmy: spotkanie Góreckiego z Beitzem było nieco aranżowane, ale kto mógł przewidzieć taki jego rezultat? Na pewno nie lublinianin.

Pokrzepiony nie tylko na duchu, trochę już wprowadzony w środowisko artystyczne, właściciel małego samochodziku wykonał sporo nowych prac, które wystawiał następnie w Galerie Altes Rathaus, znajdującej się w miejscowości Inzlingen, tuż przy granicy ze Szwajcarią. Jego rysunki powieszono tam w sąsiedztwie obrazów i rzeźb pięciu innych autorów, wśród których znajdował się twórca wyrafinowanych form z tworzyw syntetycz-

nych, Lasse Brandt, zresztą szef galerii i Szwed z pochodzenia, co miało być może pewien wpływ na to, że ów brodaty pan polubił młodszego o 18 lat Polaka (urodzonego w 1948 roku i wykształconego początkowo, przed studiami w krakowskiej ASP, na technika elektryka).

W Galerie Altes Rathaus Górecki sprzedał bodaj 20 prac, co pośrednio dowodzi, że Berthold Beitz nie zainteresował się jego rysunkami z grzeczności.

Później Górecki powrócił do Baden-Baden i gratisowo pokrył ścianę tamtejszej szkoły muzycznej stosownym malowidłem, które uroczystie odsłonił wiceburmistrz kurortu.

W rezultacie tego wszyskiego Polak otrzymał zaproszenia do Anglii, Szwecji i RFN, gdzie czekają na jego wystawy w roku 1983.

Narysowana z grubsza historia przypomina opowieść o pewnym jegomościu, który za jednym zamachem wygrał w toto-lotka pięć milionów, ale dla mnie osobiście jest w niej coś znacznie poważniejszego: fakt, że wystawiając w komercyjnych galeriach (daj Boże każdemu!), Górecki nie wyparł się własnej, nietawnej przecież, stylizacji i rysował tak, jak w kraju, czyli z ogromnym poczuciem odpowiedzialności za każdą kreskę. Mimo że zachęcano go do kompromisu z wrażliwością sentymentalną.

IJK

Kłopoty
Z nazwami

NIEKTÓRE nazwy jak i nazwiska sprawiają czasami ich nosicielom wiele kłopotów. Mogliśmy się o tym przekonać z interesującego repertażu telewizyjnego o reakcji mieszkańców wsi Wielka Nęcza, którą urzędowo przechrzczone na Średnicę. Tego rodzaju działalność wydaje mi się w obecnych czasach ze wszech miar uzasadniona, jako że mamy kryzys ekonomiczny, więc po co ludziora przypominać o Wielkiej Nęczy. Zdania jednak samych mieszkańców wsi były bardzo podzielone.

Pamiętam z czasów moich pierwszych kroków dziennikarskich, które przypadały na początek lat pięćdziesiątych, że w podobnej sytuacji wieś zdecydowanie przeciwstawiła się początkom urzędowych ojców chrzestnych. Było to w małej podgórskiej wsi o nazwie Bida. Nazwa ta zdecydowanie nie podobowała się ówczesnym władzom, gdyż byliśmy wtedy na etapie pierwszego wielkiego skoku przemysłowego i ta Bida w żadnym wypadku nie pasowała chociażby do dziarskiej piosenki o Nowej Hucie. Postanowiono zatem zmienić Bidę na Dobrobyt.

Wieś zdecydowanie się przeciwstawiła. Pisano petycje nawet do władz wojewódzkich i do wojewódzkich gazet. Pojechałem zatem jako wysłannik gazety na zebranie wiejskie, w czasie którego miejscowe władze usiłowały przekonać rolników o wyższości Dobrobytu nad Bidą. I kiedy już wszyscy przedstawili swoje argumenty, wstał stary chłop i powiedział do przedstawiciela władzy powiatowej: „Może wy, panocku, macie rację, że Dobrobyt jest lepszy od Bidy i trza nam to zmienić, ale posłuchajcie. Jo mam już 93 roki i jak bede wszystkim godół, że ten mój maluśki pokurcz to jest wielgo kłuska, to i tak bez to gadanie żadnej dziewczuchy nie przeonacze...”

W tych samych mniej więcej czasach władzom ówczesnego powiatu bocheńskiego przestała się podobać wieś Królówka. Może nie sama wieś, a jej nazwa. Argumentowano na różnych zebraniach, że jak nie ma u nas nie tylko królów, ale nawet panów, którzy pouciekali do Londynu, to i żadna wieś nie może nazywać się po dawnemu i przypominać ucisk klasowy. Koniec końców postanowiono przechrzcić Królówkę. Początkowo skłaniano się, mając na uwadze przemiany społeczne i polityczne, jakie zachodziły wtedy w naszym kraju, aby Królówka nazywała się od tego czasu Demokratką. Później jednak ktoś poddał projekt, aby z okazji rocznicy urodzin Józefa Wissarionowicza Królówkę przemianować na Stalino. Projekt powędrował do władz wyższych i nie doczekał się aprobaty. Mało tego, projektodawca miał nawet spore nieprzyjemności, że zabita deskami wieś chciał nazwać tak znakomitym imieniem. I bardzo dobrze się stało, że Królówka została Królówką, bo obecnie, kiedy zdarzył się tam cud, „Gazeta Krakowska” zamiast tytułu „Cud w Królówce” musiałaby dać zupełnie inny...

I jeszcze jedno wspomnienie z tamtych czasów. Jeden z radnych miejskich ostro piętnował wzrost przestępczości w stolicy swojego powiatu, a swoje wystąpienie zakończył w ten sposób: „Wcale się nie dziwię, że u nas wieczerom pojawia się na rynku tyle różnych chuliganów, bikiniarzy i złodziejaków, bo władze miasta nie tylko ich lubią, ale i jeszcze reklamują. A dowodem tego jest, że jedna z ulic nosi nazwę Jana Kantego...”

Kazimierz Pawelek

ZOKAZJI setnej rocznicy urodzin największego po Moniuszce kompozytora polskiego, Karola Szymanowskiego, przypominamy nie znany dotąd epizod z jego życia — występ w Lublinie z siostrą Stanisławą, niezrównaną interpretatorką jego pieśni. Towarzyszyła im 14-letnia córka śpiewaczki, Alusia Bartoszewiczówna, która dwa tygodnie później zginęła tragicznie.

Koncert rodzinny Szymanowskich odbył się 7 stycznia 1925 r. w sali Towarzystwa Muzycznego (dziś Filharmonia); był to właściwie recital śpiewaczki Stanisławy. W pierwszej części koncertu artystka wykonała pieśni Tartinięgo, Moniuszki i Niewiadomskiego

Schodził wreszcie z estrady wolnym, pozornie swobodnym krokiem, jako człowiek nowy i jakiś inny.

Po koncercie danym mi było poznać Karola Szymanowskiego bliżej i z nim rozmawiać. Mówił matowym głosem i raczej cicho, lecz bardzo wyraźnie. A przy tym patrzył łagodnymi i jakby wyrozumiałymi oczyma, z kryjącym się na ich dnie, bardziej wyczuwanym niż dostrzeganym — cierpieniem.

Zapalił papierosa. Palil jak nowicjusz, z pewnym ociąganiem się, a widząc moje zdziwienie, dodał znacząco:

— Palilem kiedyś bardzo dużo, aż do zatrucia się nikotyną. Kurowałem się

to niego jak w obraz i słuchali. To go znouż peszyło. Oczywiście szukał... pomocy. I raz zatrzymał się na mnie. Powstałem z krzesła, on również i znaleźliśmy się przy oknie. Chciał — widoczne to było — aby z nim wszcząć jakąś rozmowę. Pierwszą myśl, a która mi się nasunęła — to jego sąd o Moniuszce.

Ożywił się po raz pierwszy. Twórczość naszego wielkiego piewcy ujmował oryginalnie i bardzo ciekawie.

— Moniuszko — mówił — to nasz nauczyciel, ale przez duże N. Bo ciągle jeszcze uczy... zza grobu. Pieśni jego to nasza szkoła powszechna i średnia. Jest wielki w swojej prostocie i spokoju.

Szymanowski w Lublinie

przy akompaniamencie Ludwika Ramulita, dyrektora Towarzystwa Muzycznego. Po przerwie zebrani usłyszeli cykl pieśni Karola Szymanowskiego, który towarzyszył siostrze na fortepianie.

W dwanaście lat później miejscowy krytyk i nauczyciel muzyki, Władysław Wierzbicki, podzielił się z czytelnikami „Kroniki Muzycznej” (nr 2 z r. 1937) refleksjami z tego koncertu i wrażeniami ze spotkania z Szymanowskim:

[...] Na wysokim poziomie artystycznym interpretacja Stanisławy Szymanowskiej i doskonale jej wyczuwanie i oddanie swoistego stylu i dziwnej, chociaż ukrytej potęgi twórczej kompozytora-brata, wytworzyły w przepelnionej sali T-wa Muzycznego nastrój niezwykły. Publiczność uważna, skupiona chociaż mocno podekscytowana, każdą pieśń przyjmowała spontanicznie oklaskami. Śpiewaczka dziękowała z miłym i pociągającym uśmiechem, lecz kompozytor po każdej odśpiewanej pieśni powstawał mocno zażenowany i klaniał się jakoś szeptem i kornie zarazem. Koncentrowało to jeszcze bardziej i tak wyostrzoną uwagę słuchaczy na jego skromnej postaci. Szukano jego wzroku i gdy od czasu do czasu rzucił w tłum spojrzaniem swych stalowo-błękitnych oczów, oprawnych w gęste łuki kształtnych brwi — to fascynował.

długo w Genewie. Po chwili milczenia dodał z bladym uśmiechem:

— Wypalałem po dwieście sztuk na noc. Palilem dosłownie jeden po drugim, właśnie w nocy, kiedy komponowałem.

— Czyż dodawało to podniecenia? — spytałem.

— Tak. Nikotyna dziwnie rozjaśniała mi umysł. W ogóle... twórcza praca przychodziła mi opanie.

— To tak jak u Chopina?

— Tak, tak, jak u Chopina — powtórzył jak echo. — Ale Chopin to geniusz, a ja... nie wiem.

— Wielkie rzeczy rodzą się w bólu — zauważyłem. Szymanowski milczał.

— Musi chyba mistrz czuć w tej boleści tworzenia pokrewny Chopinowi dreszcz natchnienia — zagadnąłem.

Patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem, coś ważył w myślach i nie znowu nie odpowiedział.

Później znaleźliśmy się na kolacji. Była nas szesnastka grupa, Stanisława Szymanowska przewodniczyła; pogodna, pełna wdzięku i słodyczy. Rozmowa toczyła się o muzyce i muzykach. Od czasu do czasu jakby segregowano wrażenia z koncertu i przycisniano głosy z pewną wystylizacją, gdy nasuwały się zwroty o twórczości Karola.

A on siedział na uboczu skromny i cichy. Uśmiechał się grzecznie i bardzo towarzysko. Staral się być obecnym. Gdy się odezwał (było to parę razy), wszyscy naraz milkli, wpatrywali się

— Podobny jest do Mickiewicza — ciągnął dalej — chociaż na ogół sądzi się, że jest słabszy od twórcy „Dziadów”. Myślę jednak i jestem pewny, że Moniuszko jeszcze do nas silniej przemówi za swoim nawrotem, który przyjdzie. — Po chwilowej pauzie dalej snuł: — Obcych on nigdy nie zadziwił. Coś tu mu przeszkadza, może jego zbyt szlachetność i... szczodrość. Ale on jest nasz i wielki. Dziś tworzyć pieśni jest rzeczą bardzo trudną, bo wiem oryginalna pieśń polska musi się odrzeć o Moniuszkę — inaczej wyjdą słabizny. Uwielbiam Moniuszkę.

Tyle wspomnień Wierzbickiego. Ciekawie, ale dość powściągliwie wyraża się on o pieśniach Szymanowskiego:

Muzykę jego trudno zrozumieć [...], ale czuje się w niej potęgę i moc twórczą kompozytora. Właśnie potęga ta, moc, głębia, masa nieznanymi blasków, refleksji i załamań ludzkiego ducha technię ze wszystkich pieśni kompozytora. Jakie są to pieśni: czy piękne, czy nie piękne — trudno orzec [...]. Dziś tylko wyczuwamy w nich moc twórczą i choć często niezrozumiałą, ale drgającą młodą ideą.

Był to pierwszy i ostatni zarazem przyjazd Szymanowskiego do Lublina. Natomiast Stanisława występowała tu w latach późniejszych, obejmując nawet klasę śpiewu solowego w miejscowej Szkole Muzycznej im. Stanisława Moniuszki.

Opracował: Ludwik Gawroński

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje Marek Adam Jaworski z zespołem.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 13-16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN. 0137-7108. Nr indeksu 36251. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 422. R-4.

Taniec nad przepaścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemecewicz od przodu i tyłu”.

Niemecewicz przepchał się na czoło tłumowi, wybaluszył oczy. Srogi zawód: w ciągu 4-eh godzin nie przebiło poza pancerz spódnic, staników, szlafroka... W momentach rokujących jakiegoś nadzieje, rozstawiono parawan. Tualeta polegała na fryzowaniu, szminkowaniu, glancowaniu pa-noczek, oblewaniu perfumami; mycie, jako zabieg szkodliwy dla zdrowia, nie było wcale stosowane. Już miano spadać do karci, gdy wysunął się biskup, mówiąc słodko:

— Obowiązkiem moim, jako pasterza, jest sprawdzić czy owca przystępująca do sakramentu małżeństwa dostatecznie opanowała zasady wiary. I zwracając się do synowca — Odpowiedz! Kto cię stworzył?

Przerazony pułkownik belkotł: — Pan, pan... Zapomniałem, jaki to pan małe zrobił...

— Pan Bóg, glupcze! Ilu jest Bogów?

— Trzech w osobie jednej Matki Boskiej.

— Wyliz mi sakramenty święte.

— Pycha, obżarstwo i pijanstwo, pamiętaj abys

w dzień święty cudzołożył z wolem bliźniego twe-

go...

— Doskonale, panie kochanku — huknął Radzi-will — doskonale, papież by lepiej przed swym ślubem nie odpowiadał! — i porwawszy na ręce narzeczonego rzucił go do karety, jak kłuskę do garnka.

— Jazda!

Ruszyła cała kawkada; biskup został sam na ganku:

— Pies wam mordę lizał — pobłogosławił — to tak szanujecie duchowną osobę! — wściekle odje-chał natychmiast do Wilna, przysięgając w sercu zemstę.

Wzdłuż drogi do kościoła stało szpalierem 4000 prywatnego wojska Rodziwilla. Książę Karol dumny był ze służbiści swych żołnierzy: gdy raz szwendająca się po watach nieświeżych koza nie dała odzewu na hasło — oficerowie złożyli na nią sąd wojenny i niezwłocznie rozstrzelali. Zostali za to, oczywiście, nagrodzeni. Za zabicie kijem niedźwiedzia można było w tym wojsku zaawan-sować od razu na pułkownika, a za głośne śminanie się z dowcipów księcia — na generała. Rang i krzyże radziwiłłowskie ceniono w kraju tyle, co odznaki wojska litewskiego; te otrzymywano za głupstwa, tamte za dukaty.

W kościele wszystko poszło dobrze; by nie wzbu-dzać śmiechu powszechnego, ksiądz nie pytał o nic Masalskiego, wyręczał go zakryścian; podczas wiązania rąk udane parze — na dworze zagrzmia-ły działa, trąby, strzelby... Trzy gubernantki księż-niczki ze wzruszenia padły zemdlałe — tknęły tą tkliwością Radziwilli pośłał im zaraz hajduka z oznajmieniem, że asygnuje każdej po 6000 zł dotychczasowej pensji. Porwały się baby na nogi,

krzyknęły: — Dzieki! — i prędko zemdlały po-nownie.

Uczta i bal zakończyły ten piękny dzień. Głów-ną atrakcją było iść podglądać przez szpary we drzwiach syplalni co robią nowożeńcy... ustawiono się w kolejkę... Masalski zapomniawszy o tech-nicznych wskazówkach stryja absolutnie ignorował swe obowiązki małżeńskie, niedoświadczona, ale pełna dobrej woli księżniczka była srodze roz-czarowana, widzowie wykrzykiwali przez drzwi różne zbawienne rady, proponowali czynne demon-stracje — na własnym ślubie nikt by się lepiej nie ubawił.

Po dwóch dniach, gdy wszyscy jako tako otrzeź-wieli, książę Adam z Niemecewiczem powrócił do Warszawy.

Przejechali most, minęli święto przez kasztelana lukowskiego Jezierskiego wystawiony na brzegu dom z kłitek złożony — przez same prostopadki za-mieszkały. Stanisław August lubiał z Zamku przez lunetę wypatrywać, kto ten przybytek odwiedza i jak długo tam funkcjonuje. Przypoehlebny kasz-telan umieszcł na froncie swego publiczniaka złotony napis:

Mądrego króla są to skutki rządu, że stoją domy, gdzie nie było ładu.

Swawolni młodzieńcy, żadnej świętości nie u-mięjący uszanować, wnet dopisali pod spodem: Rozwiązłego króla oto skutki nierządu,

że burdele są tam nawet, gdzie nie było ładu. Spotkawszy swego domownika, furmana wiozą-czego drzewo, książę Adam, który gustował czasem w rozmowie z prostakami, zawołał:

— Co słychać?

lubił biwakować swojsko — po pastersku — w czystym polu, nad strumykami... Rozbijano namioty: adamaszkowy dla księcia, karmazynowy ze zło-tymi frędziami na jadaliu — 60 osób siedziało w nim wygodnie na skórzanych krzeselkach.

Gdy wypadło nocować w karczmie, wcześniej przybyły Borzecki wyrzucił won chałaciarzy — kobiercami, makatami migiem wykładano podłogi i ściany, wybijano nowe okna, poszerzano drzwi. W siałni rozwieszano sztychy i kandelabry zamienia-jąc ją na efektowną salę balową, intensywny za-pach nawozy nie psuł nikomu ochoty do tańca. Staruszkowie mieli fajki, szachy, kielichy wina — wieczór w siałni niczym się nie różnił od wieczoru w pałacu Błękitnym.

Gdzie tylko była szkoła książę wstępował do niej, egzaminował uczeni i profesorów, dawał im moralne nauki. Jako magnata słuchano go nabożnie, niekto-ry czasem wiedzieli, że to też członek Komisji Edukacyjnej. Choć nudny, przecież wywierał lepsze wrażenie niż taki Poniński, co wizytując szkoły zadawał nieodmiennie jedno pytanie:

— Gdzie robisz najlepsze wino?

Na poezgranie książę zarządził 3 dni rekreacji, uradowani nauczyciele padali mu plackiem do nog. Wjechałszy na Podole książę przypomniał sobie, iż jest generałem tych ziem i ma atrybucję woje-wody; z wizytatora przedzierzgał się w admi-nistratorka [...], rozstrzygał spory między szlachcą. Najwięcej czasu jednak schodziło na odwiedza-niu obywatelstwa. Książę dbał o popularność. Je-chał wózem, nakładając masę drogi, by zaważać o znaczniejsze dwory.

W Bajkowicach z Onufrego Morsklego załrzy-

nych książkami na mało prawdopodobny wypadek, iż ktoś zehee pocztać; pieczę nad garbusami miał Radzikowski, doskonały znawca hodowli wielbłą-dziej i tricków beudino, co nie przeszkadzało, iż jego wychowankowie zdychały z niczym nieuzas-nadioną gorliwością. Każdego zdechłaka zgnał rzewną odą.

Książę wstawał o 8-ej, o 11-ej już był gotów. Jechał otwartym kocezem w 7 koni zaprzężonym, przy nim konno Niemecewicz, Orłowski, Skowroński i chmara pokojowców z łukami na plecach. Z ty-łu kilkadziesiąt pojazdów, bo okoliczna szlachta spieszyła powitać księcia, a potem przez atencję odprowadzała go kawalek — jakies sto lub dwieście kilometrów. Toteż orszak Czartoryskiego liczył często do 400 osób.

Drogi przez nikogo nie dozorowane, nigdy nie naprawiane, były nieco uciążliwe. Powóz zapadał w wyboje wielkie jak wawoży, podskakiwał na ko-rlenach, nurał się w piasku po osie, gąłęzie przy-drożeń wierz sięki po twarży. Gdy kocz tak ugrzązł w bajorze, że aż woli dla wydobycia go sprowadzano, albo gdy się przewrócił wyrzyna-wszy, o kamień, książę konno kończył etap.

Ranny etap wynosił 2 mile. Na popasie wszystko zastawano gotowe. Po gdańskiej wodce i bigosko-brano się do obiadu — skromnego, że to w podró-ży — więc zaledwie 6 potraw. Książę wypalał następnie fałkę habita przez wylącznie do tego przeznaczanego Turka Ali i wachlowany przez mu-rzyny Osmana zagłębiał się w rozmyśleniach poli-tycznych, wyrażonych chrapaniem.

Kolo 4-ej ruszano dalej, przebywszy małą milę rozkładano się na nocleg. Jeśli było ciepło książę

wszystkim rezydentci, dzierżawcy, poczciwi ludzie co kradli wiele chleci, ale mimo ich wysiłków for-tuna ta, większa od połowy Holandii, dawała rocz-nie kilkadziesiąt beczek złota dochodu.

Wiosną 1780-go roku książę Adam postanowił odwiedzić swe wschodnie posiadłości. Pałac Błękit-ny trząsł się od przygotowań, cały dwór miał prze-cie towarzyszyć księciu.

Widząc paziów beczących w kącie, książę zapytał o przyczynę tej powodzi.

— Z rozkazu pana marszałka wyspano nam po 50 różgi!

Werwany marszałek Borzecki wyjaśnił:

— Jakże? Trzeba przygotować chłopców do pod-róży. W drodze może nie śnieć czasu na prawienie im moralów...

W nagrodę za przezorność podarował mu zaraz książę Adam piękną tabakierę.

Ruszone wreszcie taborem wobec którego kara-wana przez pustynię jest drobniakiem. O 4-tej rano wyjeżdżały wielkie, w 7 koni zaprzężone, kryte brzyki, psotkato pomalowane, z literami A. ks. Cz. po bokach. Jedną była śpiżarnia, druga wielkim piecem do pieczenia chleba, trzecia podręczną kuch-nią, inna z korzeniami, cukrem, szafranem, jesz-cze inna wyłącznie jako kawiarnia z Greczyńnem Anastazym, specjalistą od przyrządzania kawy, dziesiątą dla słodczy z mistrzem Sobolewskim wysłanym w swoim czasie na studia ciastkarskie do Neopolu, jeszcze fajczarnia, garderoba księcia, kuchnia, warsztat rymarski, góry łuboków, tobo-łow... Sobieski ciągnął pod Wiedeń z mniejszym bagażem.

Człapalo jeszcze kilkanaście wielbłądów objuczo-

— Chwała Bogu wszystko dobrze, po staremu... Ot tylko co majstarza córka księcia pana na śmierć się spaliła...

Niepomyślna ta wiadomość ogromnie zmartwila księcia, gdyż kochał dzieć swęj zony niczym wła-sne. 14-letnia księżniczka Teresa, piękna dziewczy-na, z którą Niemecewicz nieraz tańcował, podlaża za blisko kominą i spłoneła jak wiór. Księżna Izabella właśnie wypuszczała na świat swój ostatni wyrób — Zosię; chora, zrozpaczona, przestała się czesać, myć, wycierać nosa. Słubowała, iż czar-watek — dzień pożaru Teresy — będzie dożgonnie dniem żałoby w pałacu Błękitnym. We czwartki żadnych zabaw, gości, surowy post, słuchanie mszy, jatmuzna, pokucia...

Prawie trzy miesiące przestrzegano tego ślubu. Małżeństwo tylko z miłości! — była to raczelna zasada rodu Czartoryskich, a jakaż kobieta może bardziej kochać męża jak jedynaczka, sieroty nie mająca nikogo poza mężem na świecie. Książę August, wojewoda ruski, posłubił ostatnią Sie-niawska, która była też przypadkowo dziedziczką kolosalnych dóbr; syn jego, ks. Adam, pojął Iza-bellę, córkę podskarbiego Flemminga, jedyną spad-kobierczynię ogromnego majątku. I tak stosując bezinteresowną, a szlachetną zasadę — Czartor-ryszy w ciągu dwóch pokoleń wydzignęli się ze skromnego, drugorzędного rodu na najbogatszych magnatów w Polsce.

Majątki Czartoryskich znajdowały się na Litwie, Podolu, Mazowszu, Polesiu, Ukrainie, w Galicji... stary wojewoda, ani książę Adam nie orientowali się w tej masie kluczów i folwarków, nie pamiętali ich nazw, w wielu nigdy nie byli. Zarządzali tym

mał się parę dni. Gospodarz dla uczczenia wyto-czył barykę wina co miało dwa wieki, każdy dostał po kieliszku; Niemecewicz gołnął swój jednym haustem — imię Onufry omal nie zemdlał na takie świętokradztwo.

— Pięć Lacrima Christi eo Batorego pamięta jak rzyżną śmierdziuchę! O Boże, co się stanie z krajem przy takiej młodzieży!

Nalano Niemecewiczowi drugą porcję i kazano sączyć w skupieniu.

Beczka starego wina była w Polsce w większym poważaniu niż prymas; wiekowe antaty przekazy-wano sobie z pokolenia w pokolenie jako najcenniejszy klejnot rodziny. Dla podratowania fortu-ny wydawał szlachcie córkę za starego ramola, że-nił syna z garbatą Zydówką, ale nie sprzedabył za nie beczki pradziada. Dziejąc z braćmi spadek rodzicielski Jerzy Czartoryski wolał wziąć beczkę tokaju z czasów Dąbrówki niż folwark wartości 1000 dukatów.

Dla rozzerwania Generała Ziemi Podolskich umysł! Morski odegrać jakąś dobrą komedię. Nie mogło być lepszej, jak pióra samego księcia — wysta-wiono „Bliźnięta”. Pani Morska grała amantkę, a że była młoda i ładna, więc Niemecewicz wykony-wał sumiennie swą rolę amanta i na scenie obca-łowował ją dokładnie — czemu ona, że obsłużona przysłużyła się, poddawała się z ochotą. Pan Onufry, spełniający rolę suflera, w momentach zbyt grubych wysuwał się do pasa z budki i od-ciągał Niemecewicza za nogi od swej polowicy.

Barbara Radziwiłłówna

Zbigniew Kuchowicz

Fragmenty

Oceny przedstawiające osobowość ostatniego Jagiellona są podobne. Należy jednak podnieść, że Zygmunt August, nawet w aspekcie sw. życia prywatnego, charakteryzowany jest w okresie, gdy był już panującym władcą, człowiekiem doświadczonym tragediami i przeżyciami osobistymi, takim, jakim go znano pod koniec życia. W latach młodości był inny, reprezentował odmienny fenomen.

Urodził się dnia 1 sierpnia 1520 roku z ojca Zygmunta I i matki Bony, córki Jana Galeazzo Sforzy, księcia Mediolanu. Ojciec w chwili jego narodzin liczył już 53, matka 26 lat. Rodzice posiadali doskonałe warunki fizyczne. Kronikarz napisał o Zymuncie Starym: „Urodził się to pan krasnej i sily wielkiej, tak iż powrozy targal, podkowy łamał”. [...] Matka stanowiła w młodości osobienie niewieściego wdzięku i piękności. [...] Bona posiadała zdolności i zainteresowania kulturalne, biegle władała kilkoma językami, śledziła rozwój nauki, z zamilowaniem gromadziła dzieła sztuki złotniczej. Była to renesansowa wielka da-

ma, gorąca inteligencja i temperamentem nad raczej solidnym niż utalentowanym, nieco ociężałym Zymuncem Starym. Pozyty rodziców Augusta układało się bardzo dobrze. [...]

(Zygmunt August) średniego wzrostu, szczupły, „delikatnej budowy”, nie posiadał atletycznej postury ojca, był jednak silny, mówiąc dzisiejszym językiem: wysportowany. Od wczesnej młodości dobrze jeździł konno, władał bronią, chętnie uczestniczył w rycerskich turniejach. [...] Mając dziewiętnaście lat przeszedł bardzo ciężką, trudną dźią do zidentyfikowania chorobę, nie wykluczone, że zaciążyła ona nad jego dalszym rozwojem fizycznym i spowodowała niepłodność. W wieku późniejszym trafiły go dolegliwości płucne, nerwowe, podagryczne.

W rozpatrywanym okresie choroby te jeszcze go jednak nie nękały, przeciwnie, młody Jagiellon zadziwiał doskonałą kondycją i świetnym samopoczuciem. [...]

Natura obdarzyła go dobrą, według pochlebców nawet świetną aparycją, którą podkreślał niecodzienny strój i wyszukany zestaw biżuterii. Jego zachowanie, wygląd i postawę cechowała dystyngcja i „królewskość”, która wynikała zresztą z naturalnych przyczyn, od dzieciństwa był bowiem nie tylko królewicem, lecz królem. W trzecim roku życia został uznany Wielkim Księciem Litewskim, w dziesiątym — nastąpiła jego elekcja, a w lutym 1530 roku uroczysta koronacja na króla Polski. Krajem rządził Zygmunt I, dla odróżnienia od młodego króla zwanego właśnie Starym. August od pachołecia został jednak wyniesiony na szczyty

August był m.in. sioteczyną wujem narzeczonej. [...]

Młodziutka, niespełna 17-letnia, rygorystycznie wychowywana, nie rozbudzona, nie miała pojęcia o fizycznym współżyciu. [...] Od pierwszych kontaktów August traktował ją lekceważąco, nie dzielił z nią stołu, narażał na upokorzenia ze strony służby, która bawiła się jej zażenowaniem, gdy postąpiła z palcami na upokorzenia ze strony postarzącego w dywanach króla małżeńskiego łoża. Istnieją zresztą poszlaki, że to ostatnie wynikało nie tylko z niedelikatności, ale perwersji. Prawdopodobnie podniecała Augusta drastyczność sytuacji i dlatego wydawał wyrazne polecenia zmuszające Elżbietę do okazywania pewnego bezwstydu. [...]

30 lipca tegoż roku Zygmunt August chłodno pojechał do żony, zanotowano, że rzekł jej ledwie kilka słów i wyjechał na Litwę. Za nim wysłano potajemnie najulubieńsze jego nałożnice, Elżbietę pozostawił w towarzystwie rodziców i dworzan. Przesłał jej konwencyjonalne listy i pozdrowienia, jednak powściągliwie wiedział, iż jego związek z Habsburżką ma charakter chłodny i formalny. Było także publiczną tajemnicą, że na Litwie żył w miarę na każde skinienie młodego króla. [...]

Zygmunt August w momencie poznania Barbary, mimo młodego wieku, posiadał dojrzałą osobowość, zajmował przemysłaną postawę życiową. Wychowany w swobodnej, renesansowej atmosferze, inteligentny, krytyczny i wolnomyślny, nie dbał o zakazy i lekceżył normy narucane przez tradycję i Kościół. Chciał żyć i żył pełnią życia, przez którą rozumiał wtedy przede wszystkim nie koń-

hierarchii społecznej, co musiało wpłynąć na jego postawę i zachowanie. [...]

Od wczesnej młodości uważnie śledził rozwój ruchu reformacyjnego, wcześniej też porzucił prawowierną, katolicką postawę religijną. Już w polowie 1537 roku, czyli w wieku 17 lat, przejawiał sympatię dla luteranizmu. [...]

Zygmunt August ani w momencie poznania Barbary, ani później nie zdecydował się jednak na otwarte zerwanie z katolicyzmem; w 1550 roku nawet zbliżył się do kół kościelnych. Nie był to przecież wierny, pewny syn rzymskiego Kościoła. Stał też Watykan z niepokojem śledził poczynania młodego dynastę, lekając się w nim drugiego Henryka VIII, to jest władcy, który może odebrać się od Rzymu i stworzyć kościół narodowy, o czym marzyli pewnie kół magnackie i szlacheckie, m.in. później Radziwiłłowie. [...]

Pośród pasji życiowych Augusta na pierwszym miejscu należy postawić jednak „uciechy z Wenery”, życie miłosne. Skłonność do kobiet dziedziczył po przodkach, Ludwik Kolankowski powiada o Janie, królowej, że „Gorący to wielbiciele płci pięknej, do której holdów był pochojni wszyscy, prócz Walerjuszki, znanego na tym punkcie zboczenia”. [...] Kobiety w ich życiu prywatnym i publicznym grały wielką rolę czy to jako małżonki, czy miłośnicze. Należy pamiętać także, że August był pół-Włochem, że dziedziczył gorący, południowy temperament. Nie będzie bagatelną informacją, iż w jego osobowości występował silny popęd seksualny, że dysponował nieprzeciętną potencją. Na intensywność i formy jego życia miłosnego miało również duży wpływ środowisko kulturowe, obyczaje jakim

je prowadził. Jagiellończyka nie trzeba było długo namawiać, pretekstem do odwiedzenia Barbary był spadek po jej mężu. [...]

W październikowy dzień król Zygmunt August przybył do rezydencji Gasztołdów — Geranoinów, powitany przez naszą bohaterkę. Nikt nie znał szczegółów pierwszego spotkania, lecz wedle zgodnej opinii tak współczesnych jak dziejopisów, romans rozpoczął się już podczas pierwszej wizyty. Nie wiemy, czy stało się to w pierwszej nocy, czy po kilku dniach, w każdym bądź razie bardzo szybko. Nie gorszy się jednak tym tempem. Barbara, jak wierny, okazywała słabosć znaczenie mniej atrakcyjnym mężczyznom; uległa, nie z wyrachowania, lecz z namiętności, może w dużej mierze ciekawości. Tyle o tym królewiczcu przecież słyszała, tyle opowiadano o jego stylu życia, faworytach i miłośnicach. Była może ciekawa, jak też potrafił kochać ten pół-Włoch, chciała może sprawdzić, jak sama wypadnie w porównaniu z jego poprzednimi małżonkami, jak będzie działała na tego sławnego mężczyznę. [...]

Późniejsze zdarzenia wskazują, że nie zawiedli się oboje w swych oczekiwaniach. Barbara dała Zygmuntowi bez wątpienia maksymalną satysfakcję seksualną, pełną rozkosz, otrzymując w zamian te same odczucia. Te pierwsze zbliżenia, ta miłośność fizyczna dały im przyjemność i radość, wojewodzina wystąpiła jako dawczyni miłości i rozkoszy [...]

W czasie pierwszego spotkania król nie pokochołał jeszcze Barbary, nie zapragnął jej wyłącznego dla siebie uczucia. Wystarczyło mu, że posiadał jej ciało, że potrafiła go roznamiętnić, a później naszy-

holdowano na dworze Bony, a były one bardzo osobliwe. Na dworze królewskim romansowano na złość i czesność się życiem. [...] Wierny, że królowicz od wczesnej młodości otoczony był dziewczętami, wzrastał w atmosferze przesycionej erotyzmem. [...] Jest faktem, że pierwszymi kochankami były dwórki z fraucyneru matki. W wieku 17 lat miał m.in. romans z 38-letnią Włoszką, Dianą di Cordona, urodziwą, wykształconą, interesującą niewiaścią, znaną także z burzliwych przeżyć miłosnych jeszce w Italii. Jako miłośnica królewskiego otrzymała dom przy Bramie Floriańskiej, w którym nawiedzał ją młody August. Można przypuszczać, że sumiennie wyedukowała go w arkanach miłosnych. Później, ok. 1542 roku, dłuższy romans przeżył z mieszczańską krakowską, Weissówną.

Zygmunt August, od młodości przejawiał skrytą, lizowaną koncepcję życia seksualnego. Za naturalne i etyczne uważał utrzymywanie licznych, gęsto równoczesnych, związków miłosnych z wieloma kobietami.

Z miłośnikami swymi wcale się nie krył, zmianę partnerów uważał za rzecz oczywistą, intensywność i częstotliwość stosunków płciowych za moment zbawienne działający na swoje zdrowie i samopoczucie. Jego obyczaje seksualne były więc najdalej od purytanizmu. Nie zmieniło ich także zrehabilitowane po latach pertraktacji, zawarte ze względu politycznych małżeństwo.

6 maja 1543 roku zasiadł bowiem w Krakowie Elżbieta Austriacka, synowice cesarską, córkę króla rzymskiego Ferdynanda Habsburga. Ślub odbył się za dyspensą papieską, ponieważ między młodą parą zachodziło bliskie pokrewieństwo, Zygmunt

ci i zaspokoili. Według pewnych wersji uważał, że nadaje się ona na kochankę, lecz nie na żonę, podobno nawet odrzucił ożenienie się z nią swym dworzanom. Nie są to pewne informacje, nie mamy jednak żadnych podstaw, by twierdzić, że zamoczał się natychmiast, początkowo traktował ją też chyba jako jedną ze swych licznych miłośniczek. Okazało się, że czas pracował jednak dla Barbary. Że rozpalone przez nią pożądanie przemieniło się rychło w wyższe uczucie.

Pobyt w Geranoinach trwał kilka tygodni. [...] August wyjechał z Geranoinów, lecz nie mógł zapomnieć Barbary, postanowił tedy kontynuować swój październikowy romans. Zrodła świadczą, że zbliżył się w tym czasie do Radziwiłłow, którzy zwręcznie podsyłali jego zainteresowanie Barbarą, wykorzystując go jednocześnie jako cennego sprzymierzeńca w walce, jaką prowadził z królową Boną. Miało to miejsce w pierwszej połowie 1544 roku. Już wtedy Zygmunt August, w tajemnicy przed matką, wyplacał im znaczne sumy pieniężne. Radziwiłłowie zjednali go do swej polityki, której celem było oddanie mu rządów na Litwie za życia ojca, a następnie odebranie królestwa Bonie posiadanych przez nią dóbr. 6 października 1544 roku, pod naciskiem koterii Radziwiłłowskiej, król Zygmunt Stary powierzył rządy na Litwie synowi, dla siebie zatrzymując tylko tytuł „supremus” i pewne uprawnienia. Litwa uzyskała wtedy faktyczną niezależność, a August pełną, wielokrotną samodzielną. Próby wydziedziczenia Bony jednak się nie udały i doprowadziły tylko do zatargów w rodzinie królewskiej.